Nr. 30. Warszawa, dnia 29 (17) Lipca 1893 r. Rok XIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Zwracamy uwagę, że według najnowszych przepisów pocztowych pieniądze przesyłane w listach rekomendowanych lub zwyczajnych są konfiskowane i że tego rodzaju przesyłki nie należy używać.

POLITYKA.

WOJNA W SYAMIE.

„Apetyt przychodzi przy jedzeniu“ — mówią francuzi i stwierdzają obecnie to czynem w sprawie syamskiej. Kiedy przed niewielu laty Ferry do *menu* politycznego włączył im Tonkin, otrząsali się ze wstrętem. A otrząsali się nietylko dlatego, że potrawa była obficie skropiona krwią francuską, ale i dlatego, że drapieżna zaborczość budziła w nich niesmak. Jakże inaczej dziś! Sądząc z żarłoczności prasy paryskiej, należałoby przypuszczać, że jedzenie Tonkinu wytworzyło w narodzie nienasycony apetyt. Nigdy ona jeszcze tak gwałtownie nie popychała rządu do „energicznej akcyi,“ nigdy tak namiętnie nie domagała się „ukarania winnych,“ nigdy tak nie łaknęła wojny zaborczej, jak w tym wypadku. Jej artykuły buchają płomieniem, jej słowa rozsypują się jak kartacze. Skoro tylko minister angielski bąknął o zabezpieczeniu interesów W. Brytanii, ryknęła na niego chórem zgrozy. Według niej Anglia nie będzie miała „czoła“ mieszać się do zatargu syamskiego i pozostawi sąsiadom swobodę rozprawy orężnej z kilkutysięczną zbieraniną, która śmiała strzelać do okrętów francuskich wtedy, kiedy one do jej twierdzy strzelały. Czy sąsiadka tej napół grzecznej a na pół grożącej przestrogi usłucha?

Rządzi nią w tej chwili Gladstone, starzec zmęczony walką wewnętrzną, której nie ukończył, pochłonięty przez swoje ostatnie marzenie i ostatnią pracę, a przytem z natury niezbyt skłonny do przyorywania orężem nowych posiadłości. W starcu tym jednak drzemie dawny lew, a nadto podnieca go młody tygrys, kierujący sprawami zagranicznemi, lord Rosberry. Zresztą każdy rząd angielski snuje dalej nić tradycyi wszystkich poprzednich, dla których dogmatem była zawsze obrona interesów, a ściślej mówiąc, handlu wielkobrytańskiego. Handel zaś ten pompuje znaczne zyski z Syamu, gdzie francuzi daleko mniej zajęli pola. Pozwolić im więc na swobodną gospodarkę nad brzegami Mekonga, znaczyłoby nietylko stracić ważną pozycyę, ale jeszcze ściągnąć zbyt blizko współzawodników i nieprzyjaciół do źrenicy oka Johna Bulla — do Indyj. W końcu nie należy zapominać, że Gladstone, silnie podminowany na swem stanowisku przez bil irlandzki, runąłby po najmniejszym błędzie w polityce zewnętrznej, a konserwatyści, którzy tylko czyhają na takie jego potknięcie, odzyskaliby natychmiast ster władzy. Z tych wszystkich względów przypuszczać należy, że gabinet londyński nie założy rąk bezczynnie i zabierze głos stanowczy w zatargu.

Wszystko to wiedzą lub przeczuwają syamczycy i dlatego na *ultimatum* francuskie dali taką odpowiedź, że po niej nastąpiło zerwanie stosunków i niemal formalne wypowiedzenie wojny. Mylą się oni tylko może co do taktyki swego tajemniczego sprzymierzeńca. Z jakiemi poleceniami przyjechał szybko do Paryża lord Dufferin — nie wiadomo, pewna wszakże powolność i jak gdyby obojętność w traktowaniu sprawy ze strony rządu angielskiego zdaje się wskazywać, że on postanowił nie występować odrazu ze swemi pretensyami, lecz czekać przebiegu walki. A nuż Syam sam się oprze! Nie jest to nieprawdopodobnem.

Nawet tak olbrzymia różnica sił, jaka zachodzi między potężną Francyą a słabem królestwem azyatyckiem przestaje być uderzającą w szczególnych warunkach bojowych. Odległość, trudność, wysiłki znaczniejszej ilości wojska i przeróżne niebezpieczeństwa wyprawy do półdzikiego kraju czynią zadanie podboju niełatwem. Zarówno zaś syamczycy, jak wszystkie ludy, uplątane w sieć interesów Anglii, walcząc z francuzami, zawsze otrzymywały skrycie od niej bardzo skuteczną pomoc. Dzięki temu kilkotysiączna armia, która w Europie po jednej potyczce byłaby rozbita doszczętnie, w Afryce lub Azyi może się bronić przez całe lata. To więc, że okręty francuskie odpłynęły do Syamu, nie znaczy jeszcze, że za parę tygodni on istnieć przestanie.

Z tej waśni wszakże wyłonił się inny fakt, który może bardziej, niż ona, zasługuje na uwagę. Zaznaczyliśmy wyżej, że prasa francuska pobudza swój rząd do wojny. Przeceniłbyśmy jej wpływ i nie docenilibyśmy jego samodzielności, gdybyśmy całą energię w sprawie syamskiej przypisali tej tylko podniecie. Świeżo ogłoszona t. z. „księga żółta“ (zawierająca dokumenty z polityki zagranicznej) świadczy, że rząd francuski również energicznie występował w zatargu angielsko-egipskim i że on wogóle przemawia do Europy teraz daleko mocniejszym tonem, niż dawniej. Jest to naturalnie objaw poczucia swej siły, nie tyle może płynącego z wewnątrz, ile z zewnątrz. To poczucie jest tak wyraźne, że posądzono Francyę o chęć osłabienia stanowiska Anglii w Europie. Kto o tem mówi i pisze, zapomina, że owa „Francya,“ jako organ stale i w pewnym kierunku działający, wcale nie istnieje; istnieją tylko ustawicznie zmieniające się ministerya, z których każde mniej lub więcej zbacza z drogi poprzedniego, jedyny zaś stały czynnik — Carnot pozostaje biernym. Przeprowadzenie „wielkiej intrygi

politycznej,“ o której mówią gazety, a której wyrazem ma być również zatarg syamski, wymagałoby długiego snucia i dziergania jej przez te same ręce, podczas gdy we Francyi co parę miesięcy, jeśli nie tygodni, staje przy warsztacie polityki zewnętrznej inny minister. Czy on w tak krótkim okresie zdołałby przeprowadzić „wielką intrygę,“ zwłaszcza, że często po raz pierwszy w życiu bierze się do tej roboty? Naszem zdaniem więc ów zatarg jest zaimprowizowany, przynajmniej ze strony Francyi.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Ministrowie skarbu rzeszy niemieckiej mają się zebrać we Frankfurcie nad Menem dla obmyślenia środków pokrycia pieniężnego dla reformy wojskowej. Tymczasem prasa albo zgaduje, albo puszcza wydęte w niej przez rząd baloniki próbne dla wybadania opinii publicznej. Źle musi jednak być z konceptami podatkowymi, skoro za jedno z najobfitszych źródeł dochodowych uważany jest... totalizator, który swemi opłatami od gry ma dostarczyć około 2 milionów marek. Ale pozostawmy ten kłopot Miquelowi.

Skutkiem nadzwyczajnego nieurodzaju paszy w całych Niemczech i Austryi nie tylko wstrzymano jej wywóz za granicę, ale nadto zaniechano w roku bieżącym manewrów z kawaleryą.

Wielki Bismark musiał się odezwać, gdyż naprzód trzeba było obronić małego, który się skompromitował w sejmie, a powtóre powiedzieć słówko o przyjętym projekcie rządowym. Znalazł on ku temu sposobność, przyjmując jedną z niezliczonych deputacyj. Usłyszano jeszcze raz bajkę o czapli na wysokich nogach: za Wilhelma I Niemcy czuły się silne — wtedy wogóle wszystko w nich było wielkie i święte, dziś czują się słabe; rząd obecny nagrzeszył wiele, ale największym jego grzechem są traktaty handlowe, dokuczliwe dla wszystkich rolników, a zwłaszcza dla posiadających tak olbrzymie dobra, jak Friedrichsruhe, Warzin i Schönhausen; traktaty te trzeba, rozumie, się co prędzej unicestwić i nie podstawiać skarbonki podatkowej pod kieszenie właścicieli ziemi, lasów, tartaków, cukrowni, browarów i tego wszystkiego, co Bismarków jest. Ach, co to za wspaniała postać historyczna, ten wielki Otto!

Bill irlandzki, dzięki ograniczeniu rozpraw do pewnej miary, posuwa się ku końcowi szybko i w sierpniu ma być uchwalony całkowicie. Odszczepieńcy w obozie Gladstone'a mnożą się, ale głosują według jego komendy z lekkiem sercem, gdyż mają nadzieję, że Izba wyższa ów bill udusi. Zresztą teraz uwaga ogólna zwróciła się w inną stronę, ku Syamowi, którego $^2/_3$ handlu spoczywa w rękach angielskich. Wszystkie gęsi dziennikarskie ostrzegają bezustannie konsulów, ażeby strzegł Kapitolu i nie dopuścił żadnej obrazy boga — Merkurego. Jest to bowiem Jowisz angielski.

Kedyw egipski przedłużył swój pobyt w Konstantynopolu, gdzie widocznie kuł żelazo polityczne w ogniu łask sułtana. Ale Wysoka Porta otwiera się chętnie przed osłem, dla którego ładunek wymyślił Jugurta, można więc przypuszczać, że ambasador angielski zdołał urządzić w niej sobie telefon, przeprowadzający mu do ucha szepty gospodarza z gościem i że po wyjeździe Abbasa będzie umiał zatrzeć ślady jego starań.

Skupczyna serbska znaczną większością przyjęła akt oskarżenia ministrów liberalnych, którzy będą musieli odpokutować za swoje krótkie rządy. Natomiast wniosek jednego z posłów, żądający wygnania z kraju b. regentów, nie zyskał poparcia. Jednocześnie Ristić doniósł z zagranicy, że złożone przeciw niemu w skupczynie dowody są sfałszowane. Wogóle takiego wątpliwego materyału, zdaje się, jest w dokumentach oskarżenia bardzo dużo. Ten sąd na ministrów nie pozostanie bez wpływu na przyszłość, mianowicie posłuży on za wzór postępowania dla innych stronnictw, gdy dojdą do władzy i będą chciały zemścić się na swych przeciwnikach.

Austryacki minister wojny, gen. Bauer, umarł.

BADANIA NAUKOWE.

PSYCHOLOGIA SPIRYTYZMU.

Rzecz dziwna, jak pogardliwie i z jakiem lekceważeniem gawiedź błagująca, chwytająca to lub inne hasło, ażeby je obedrzeć ze wszelkiego życia i wtłoczyć do pospolitego szablonu, traktuje pewne stany ducha. Na różnych mistyków patrzono do ostatniej chwili jedynie jako na oszustów, wyzyskujących łatwowierność tłumów, lub półgłówków, których należałoby czemprędzej zamknąć do czubków. Weźmy spirytyzm. Pomiędzy wyznawcami tej doktryny, czy też obłędu znajdują się natury rozmaite: sprytni geszefciarze, robiący na szwindlu dobre interesy; osoby, które tylko dlatego wierzą w stukające stoliki, że wielu wierzy — te istoty trzodowe jutro wyznawać będą coś innego, jeżeli ich przewodnicy zmienią zdanie; lecz są też jednostki dość samodzielne, w samotności uprawiające sztukę rozmowy z duchami, a którym nie podobna zarzucić ani braku umysłowości, ani głębokiego przeświadczenia. Stoliki chodzą im pod dłonią, duchy piszą ich ręką, nadprzyrodzone siły jęczą w ścianie pokoju i ukazują się w mglistej postaci. Co ich sprowadziło do tego stanu? Jakim sposobem doświadczenie osobiste pozwala im się łudzić, iż istotnie posiadają stosunki z duchami? Tłum, widzący w „trzeźwości“ dowód przewagi umysłowej, nie zdołał zrozumieć tych dziwnych ludzi, ponieważ pomiędzy nim a tymi odludkami nie wiele było wspólnego — w tym razie samotnicy byli zwykle stroną uciekającą, która nie chciała odsłaniać przed ciekawą trzodą tajemnic swojego życia duchowego. Nauka zajmowała się obalaniem dowodów spirytyzmu, ale żaden z jej przedstawicieli nie sięgnął do dna i nie zadał sobie pytania: jakim sposobem ten i ów szczery i zdolny człowiek, samotnie eksperymentujący, a zatem wolny od obłędu zbiorowości, może łudzić siebie samego i wierzyć w różne figle duchów? Powieść, która zaczyna jeździć aż do Oceanii, ażeby stamtąd zapożyczyć oryginalne wzory, na których coraz więcej jej zbywa w rodzimem europejskiem otoczeniu, lub grzebiąca się w brudach wyuzdania płciowego, również nie dotarła do tej zagadki duszy spirytystycznej. Trzeba wreszcie było, ażeby życie masowo zaczęło stwarzać istotne atomy ludzkie, samotnie stojące, bez celu w życiu i z szaloną z tego powodu próżnią wewnętrzną, łaknącą zapełnienia; aby w dalszym ciągu ci ludzie posiadali zdolności pisarskie i poddali analizie swoją wewnętrzną istotę lub istotę znanego sobie koła rozbitków, a wtedy pewne światło wyraźniejsze padło na te posępne, znużone postacie. Zaczęto rozumieć, że te mistyczne stany niekoniecznie świadczą o niskiej umysłowości człowieka, natomiast nader często są

---

9)

ARNE GARBORG.

SPOKÓJ

(Przekład z upoważnienia autora).

Dla Gunnara stał się tedy Enoch surowszym jeszcze, niż dotychczas. Gunnar pienił się. Z początku bał się tego cygana; lecz teraz znienawidził go. Jak to umiał kręcić się koło ojca, pochlebiać mu, brać go na słodkie słówka — a kłamał, no! Nigdy nie bywał łajany, nigdy; a bity! — jeszcze czego? Nigdy. Mówiono do niego w miodowym tonie: szkoda, żeś roboty nie skończył, Carolusie, ty, który jesteś przecież taki zręczny; Gunnar trochę ci pomoże. Naturalnie, Gunnara to nie szkoda. A cygan nawet spodni skórzanych nie nosił...

Jedyną osobą, która miała nieco wyrozumienia, była matka. Nieraz trochę się za nim ujęła, niekiedy wsunęła do ręki kawałek ciastka. Gdy ojciec bawił w mieście, posyłała go z masłem lub z czemś innem do kramarza; gdy zaś wracał, dawała obwarzanek i trochę kawy. W takich razach największą radość sprawiało chłopcu to, że mógł Carolusa okłamać, bo cygan o tem wiedzieć nie miał.

Raz jednak, na jesieni, wróciwszy od kramarza, Gunnar w spiżarni spostrzegł Carolusa. Gdy doniósł o tem matce, w odpowiedzi otrzymał — pst! Prawie że się gniewała.

— Bo i po co Carolusa szpiegujesz? I jemu obwarzanek nie zaszkodzi. Taki dziś był grzeczny, ciebie w robocie wyręczył, tak że teraz jesteś już wolny. A szeptem dodała: pamiętaj, bądź dobrym dla Carolusa.

Tego Gunnar pojąć już nie mógł. Zawstydzony i zdziwiony wrócił do spiżarni.

— No, i cóż dostałeś za paplanie? — zapytał Carolus.

Potem wysłano całą młodzież do stodoły — na zabawę. Gunnar tak się cieszył, że wydało mu się niemal, iż Carolus jest miłym chłopcem. Wkrótce spostrzegł, że cygan ten umie być i zabawnym; to też prawie go pokochał.

Czy widział kto, żeby tak umieć udawać! Przedstawiał „dzikiego,“ a tak rozśmieszał, że aż ich boki bolały. Potem zaczął im opowiadać baśnie, a opowieści jego były daleko piękniejsze od bajek Joriny.

Potem udawał pastora. Włożył na siebie spódnicę Joriny i zaczął kazać. Ale po chwili wpadł na szalony pomysł. Postanowił ślubem połączyć Gunnara i Serinę. Klękli przed nim, on zaś rozpoczął ceremonię.

Przypadkiem nadeszła Anna; stanęła, słuchając przez jakiś czas, a usłyszała rzeczy straszne.

— Carolus! — zawołała.

Dzieci zlękły się i uciekły.

— Powinnabym to ojcu opowiedzieć — rzekła poważnie.

Carolus zaś podchodzi ku niej i najłagodniejszym tonem mówi:

— Ależ, nie czyń tego, lepiej przecież, żeby ojciec nie wiedział o wszystkiem, co się w domu dzieje, gdy jest nieobecnym.

Gniewnem okiem spojrzała na niego. Gunnar drgnął; teraz pojął wszystko. I wkrótce zawarł z cyganem przyjaźń.

XIII.

Niebo zbladło, pola stężały. Opadły piękne fioletowe i żółte kwiatki kartofli, a na ich miejsce wystąpił owoc. Czajki zamil-

dowodem żywego serca, które nie może znieść pustki i w braku innych narkotyków wybiera transcedentalne. Jedną z takich postaci, jak sądzimy, z własnego doświadczenia, skreślił bardzo głęboki analityk człowieka-atoma, Garborg w utworze, który przed rokiem drukowano w tych łamach. Świeżo, wiedziony instynktem artysty-analityka, opublikował pamiętnik jednego ze swoich przyjaciół, rzucający więcej światła na duszę spirytysty, aniżeli całe stosy polemicznych rozpraw. Spowiedź to bez najmniejszego artyzmu, nudna dla przeciętnego czytelnika i pełna jałowych z pozoru szczegółów, lecz szczera, spisująca z dnia na dzień każdy szczegół obcowania z duchami. Człowiek ten jest sam z sobą i z duchem opata Worma, nikt mu nie poddaje myśli a zatem i swoich złudzeń. Jak na dłoni przesuwa się nam istota zachwytu spirytystycznego. Nadto nie pozuje on przed nikim, a jeżeli oddaje swój pamiętnik Garborgowi, to czyni dlatego, ponieważ sam sobie dać nie może rady. Artysta skandynawski odczytuje go z uniesieniem, uwikłał bowiem się też w rozmowy z duchami i z przerażeniem spogląda, jak coraz silniej upaja się tym transcedentalnym narkotykiem. Z tego powodu wyrywa mu się zdanie, że knajpa spirytystyczna jest podobnie niebezpieczną, jak wszelka inna. Wprawdzie spowiedź owa nie odsłania nam źródła, z którego wypłynął u bohatera spirytyzm, ale natomiast doskonale możemy się przyjrzeć, jakim sposobem doświadczenie styka go z duchami.

Pierwsze doświadczenia odbyły się w kółku rodzinnem. Probowano stołu, który zaczął się obracać i ostatecznie obwieścił, że opat Worm, który żył w Niemczech w w. XIII, rozmawia z obecnymi. Potem siostra z mężem odjechała i Z. pozostał samotny. Kilka dni pierwszych nic nie wychodziło z pod ołówka, kiedy z bijącem sercem siadał przy stoliku; wreszcie ukazały się wyrazy. Jednego wieczoru ołówek skreślił nazwisko Worma, dał kilka „tak“ i „nie.“ Zwolna, podczas dalszych samotnych posiedzeń, zaczęły z pod ręki wypływać całe zdania. „Worm. Wolę pisać. Chcę udać się do Ramstadów. Chcę pisać ręką Lei. Chcę ukazać się jako biały gołąb. Chcę mówić, kiedy ptak będzie w pokoju. Chcę, aby zasnęła. Chcę, aby mocno zasnęła. Chcę sam ją obudzić. Chcę jej to opowiedzieć podczas snu. Sam chcę wyznaczyć czas i miejsce. Chcę zjawić się przed wami nieoczekiwany“ — oto jak wygląda próbka jednego z pierwszych zwiastowań ducha! Inne niczem się nie różnią. Zawsze występują takie same urywane zdania, niekiedy przeczące sobie wzajem; czasami duch popełnia kardynalne błędy co do przypadków lub rodzajów gramatycznych; zdarza się też, że nie może wykrztusić jakiegoś wyrazu. Pewnego dnia obiecuje, że zjawi się w postaci białego gołębia. „Położyłem się — opowiada Z. — otworzywszy okno, świecy nie zapalałem. Z bijącem sercem i nie bez obawy oczekiwałem, co się stanie. Zwracałem wzrok w kierunku okna. Ale nic nie było widać. Stawałem się coraz bardziej podniecony.“ Rozumie się, gołąb nie przyleciał. Kiedy zapytuje ducha o przyczynę zawodu, otrzymuje rozkaz natychmiastowego zejścia do piwnicy, zamknięcia otworu i oczekiwania. Czyni to, lecz kiedy zniecierpliwiony ma opuścić piwnicę, spostrzega na podłodze coś szarego, bez określonej formy, niby obłok. „Nic takiego, pomyślałem; istotnie widzenie ulotniło się, ale natychmiast, na wysokości oka, zdało mi się, iż widzę podobnie mglisty, okrągły przedmiot. Zniknął, poniżej wystąpiła podłużna plama, niby koszula, ale zachowywała się niespokojnie, tak iż nie zdołałem dobrze jej rozeznać. Poruszała się w różne strony, znikała i ukazywała się znowu w innem miejscu, niekiedy pospołu z okrągłą kulą, niekiedy samotna, niekiedy tylko jedna kula. Nie wiedziałem co myśleć. Czy było to istotne objawienie, czy też złudzenie? Nadto nie czułem się dobrze i pragnąłem czemprędzej znaleźć się na górze, zwłaszcza że przedmiot wciąż zbliżał się do mnie, wreszcie podniósł się nad moją głową, zniknął i nic więcej nie widziałem.“ Później, w kilka godzin myśl wyidealizowała widzenie, odziała go w świecące barwy, zrodziła chęć wejścia w stosunki towarzyskie z duchami. Z. natarczywie żąda od opata Worma, ażeby ukazał się w namacalniejszej postaci. Duch obiecuje zejść w kształcie ryby, później ptaków. Opuszczamy drobiazgowe i nużące opowieści o tem, jak nasz spirytysta na słońcu i słocie, podczas dnia i w nocy czatuje na obiecane schadzki, jak wykonywa mnóstwo dziecinnych czynności i jak wreszcie doznaje zawodu. Worm zawsze znajduje jakąś wymówkę; Z. niby tego nie wykonał, tamtego nie uczynił. To znowu duch odpowiada, że chce wypróbować jego stałość. Później poczynają się przepowiednie co do pogody, niekiedy sprawdzające się, niekiedy zawodzące — z podobnemi wymówkami, w których liczbie znajduje się jedna charakterystyczna, mianowicie, że duchy nie są wszechwiedzące, a zatem mogą się mylić. Między innemi Worm udziela mu nauk, jak winien postępować względem swojego wuja. Posłuchajmy, co o nich powiada ten spirytysta. „Te wskazówki nie zupełnie przypadły mi do smaku. Ale w nich ukrywała się jakaś wyższość sądu. Zdradzały one taką znajomość charakteru mego wuja — głębszą, niż sam posiadałem — że napełniły mnie szacunkiem.“ Później Worm wykłada całą filozofię transcedentalną swojemu posłusznemu uczniowi. Każdy duch wielokrotnie wciela się w ziemską powłokę. Worm np. żył jako król Jerim, czwartej dynastyi egipskiej; następnie jako Konfucyusz, Budda, Jan Chrzciciel, opat Worm, wreszcie misyonarz Elliot, przedtem jeszcze sześć razy wcielał się w postać konia. Podobnie Z. przechodził mnóstwo faz. Potem następują jeszcze inne zwierzenia, które pomijamy. Worm czyni je wszystkie w ten sposób, że Z. trzyma w ręku ołówek, który sam pisze na papierze. Oto jak nasz spirytysta spowiada się z tego wrażenia. „Czułem coraz bardziej, że obca jakaś siła prowadzi moją rękę, co odczuwałem też przy przejściu do nowych wyrazów i nowego wiersza. Za pierwszym razem, kiedy zwierzenie skończyło się, ręka zawiłym ruchem mięśni została wyprostowana a ołówek wypadł. Litery i nawet całe zdania były pisane charakterem bezwarunkowo mi obcym (pismo było bardziej eleganckie), tylko tu i owdzie zabłąkały się napisane moim charakterem sztywne litery i psuły harmonię.“

Ale dzban tylko do czasu nosi wodę. Worm wodził za nos Z., wreszcie miarka się przebrała. Wciąż łapał on ducha na kłamstwach, np. okazało się, że króla Jerima nigdy nie było w Egipcie. Przydybany Worm wskazywał, że znaleźć imię to można w pewnej książce na pewnej stronicy, a wskazówka okazywała się mylną. Zwodził on i w innych wypadkach. Na swoje uniewinnienie przytaczał, że nie może o wszystkiem wiedzieć, to znowu przyznawał, że jest oszustem, obiecywał poprawę i — brnął dalej. Nadeszła wreszcie historya z listem, zbyt długa i przedewszystkiem zbyt nudna, aby ją tutaj powtarzać. Wątpliwości jęły zakradać się do umysłu pana Z., a w miarę ich wzrostu ręka kreśliła wyrazy z coraz większą niepewnością. „Znikło wrażenie, że ktoś stoi za mną, jakie dawniej miewałem; teraz czułem się niby malec, którego złapano na jakimś figlu. Imię Worma przestało brzmieć tak dźwięcznie, jak ongi.“ Wreszcie, kiedy czytał jedną pracę o hypnotyzmie, wpadło mu na myśl, że może owym duchem jest

---

kły, skupiły się w gromadki i znikły. Na bladych, skoszonych łąkach szpaki odbywały zgromadzenia, krzycząc i świegocąc tak, że głos ich rozlegał się daleko i szeroko.

Wkrótce skończą się żniwa, a na ugorach zapłaczą fujarki ździeblane *). Potem przychodziła kolej na ostatnią wielką pracę, na kopanie ziemniaków, nakoniec siano żyto.

Tak więc w tym roku było już po lecie. Dżdżysty wiatr wył i gwizdał w szparach i krokwiach— tak żal swój z powodu jesieni wypłakiwał. Niebo zawisło beznadziejne, szare, zmywając i zmiatając wszystko ciężkiemi ulewami.

Jeden Enoch jeszcze nie uprzątnął swoich kartofli. Gunnar i Carolus do południa mieli skończyć robotę.

Przyspieszali, o ile mogli. Cieszyli się, że skończą się wreszcie męki lata. Lecz praca okazywała się cięższą, aniżeli przypuszczali z początku i od czasu do czasu Carolus odpoczywał.

— Wstrętna robota — rzekł Gunnar.

— O tak! — odparł Carolus. Zdaje mi się, że jednak puszczę się na morze.

— Masz słuszność. Jest to i mojem życzeniem. Tylko nic o tem nie mów nikomu.

— Ani ty!

— Ale skądże!

Usłyszeli jakiś krzyk brzydki, ochrypły; dzikie, straszliwe gęganie wylęknionych głosów rozległo się wysoko w powietrzu— były to dzikie gęsi.

Z wiatrem walcząc, ciągnęły wielkim, niespokojnym trójkątem ku południowi.

— Widzisz, w podróż się puszczają. A jak myślisz, dokąd?

— Do Arabii! — odparł Carolus.

— Ach, gdyby to tak można było frunąć z nimi!

Przez długi czas ścigali okiem gromadę ptaków, która powoli zlała się w jedno, w szarą barwę obłoków i znikła.

— A gdzie leży Arabia?

— Arabia? Carolus stał się nagle uroczystym — w tej chwili przypominał ojca. Arabia — zaśpiewał — leży siedem razy po siedem dni jazdy na południe od nas, na południe od morza i na południe od Flandryi, i na południe od Hiszpanii, i na południe od papieża, tak, nawet na południe od kraju, w którym mieszkają „niebiescy ludzie“ *).

— Ach, to musi być daleko!

— Królem tego kraju jest wielki kalif Hadonald Raskji, a mieszka on w pałacu ze szczerego złota. Zaś filary tego pałacu zrobione są z marmuru i z kości słoniowej. Królowa i wszyscy dworzanie noszą szaty z jedwabiu i purpury, zaś w pośrodku pałacu stoi fontanna z jaspisu i szmaragdów; lecz fontanna ta nie wyrzuca wody, tylko same błyszczące perły. Sam Hadonald Raskji siedzi na szczerozłotym tronie, dzierżąc w dłoni królewskie swoje berło z brylantów, jaspisu i ametystów, jaśniejąc nad państwem swojem, niby słońce.

Carolus zapomniał o wszystkiem wokoło siebie; ciemne jego oczy błyszczały, zatopione w marzeniu.

— Gdybyśmy tam byli! — szepnął Gunnar.

— Chciałbym tam być najprostszym niewolnikiem — mówił dalej Carolus, bo najprostszy niewolnik kalifa ma większe znaczenie tam, aniżeli tu namiestnik, a całe jego zajęcie polega tylko na tem, że przed Hadonaldem Raskji niesie kadzielnicę, gra na lutni i dźwiga ogon szat królowej;

*) Podczas żniw, ze świeżo uciętych ździebeł wyrabia się fujarki dla dzieci. Fujarki te mają jeden lub dwa tony.

*) Według staropółnocnych tradycyj „niebiescy ludzie“ mieszkają w „niebieskim kraju“ — w połudn. Hiszpanii i w północnej Afryce; mowa tu o średniowiecznem państwie maurytańskiem.

jego własna „wewnętrzna osobistość.“ Odtąd wciąż się Worma dopytuje, czy naprawdę jest on duchem, czy też wszystko jest tylko złudzeniem. Otrzymuje różne odpowiedzi, pismo staje się niepewniejszem, niekiedy z pod ołówka wychodzą jedynie jakieś zygzaki, zamiast długich rozmów zjawiają się krótkie, urywane wyrazy, niekiedy podpisane przez „wewnętrzną osobistość.“ Wreszcie jednego wieczoru Worm powiedział, że nie ma siły pisać, i odtąd wszelkie próby dalszego obcowania okazały się niemożliwemi, ręka kreśliła jedynie jakieś nieczytelne znaki.

Opuściliśmy mnóstwo charakterystycznych szczegółów, jednak i bez nich nie trudno spostrzedz, kto jest owym duchem, ile że i sam Z. w końcu to zrozumiał. Garborg do pamiętnika swego przyjaciela dorzuca kilka słów uzupełnienia. Posłuchajmy, jak on tłomaczy cały ten obłęd spirytystyczny. Po pewnem udatnem posiedzeniu przyjaciel jego znajduje się w stanie hypnokształtnym, przejęty złudzeniem, że w pokoju są obecne duchy. Bierze ołówek i papier do ręki, biernie oczekując objawienia — owa bierność duchowa jest warunkiem nieodzownym, a panujące w umyśle idee, będące w stosunku majaczeń sennych do rzeczywistości, przyoblekają na się postać osoby, ducha. Ta sama nieświadoma działalność woli, która zrobiła go biernym, teraz zrywa związek pomiędzy ręką a czujną świadomością, tak iż życie senne przywłaszcza sobie władzę nad duchową istotą człowieka: ręka pisze, kierowana przez „obcą“ wolę, Z. wszedł w obcowanie z „Wormem.“ Ćwiczenie rodzi coraz większą wprawę bierności; zdolność ręki do ulegania impulsom nieświadomego życia wzmaga się, a obcowanie staje się coraz obszerniejszem. Ale Z. łaknie dowodów, materyalizacyi ducha. Rozgrywa się istny dramat pomiędzy świadomością a życiem nieświadomem, każde zaś przybiera na się postać odmiennej osoby. Wszystkie wymówki, uniewinniania się, zarzuty są dyktowane przez różne strony tej samej jaźni! Wreszcie świadome życie odnosi tryumf, co nie każdemu spirytyście się zdarza, zwłaszcza tym, u których podkład histeryczny sprzyja systematycznemu samooszukiwaniu się. Złączmy teraz kilku takich samotników pospołu, a obłęd zostanie wzmocniony właśnie dzięki temu, że jest gromadny, zbiorowy. Na tle szczególnego stanu duchowego, pod wpływem zbiorowości, wiara nabierze silniejszej mocy i wraz z tem obcowanie pójdzie jeszcze dalej. Spowiedź naszego spirytysty posiada jeszcze inną zaletę, wskazuje bowiem, jakie znaczenie dla studyów psychicznych mogą mieć badania nad spirytystami. Psychologia już dawno zajmuje się tak zwaną nieświadomą cerebracyą, kiedy np. usiłujemy przypomnieć sobie czyjeś nazwisko, później przestajemy o niem myśleć, a po kilku godzinach samo ono wypływa w pamięci, jakkolwiek zapomnieliśmy o dawnej próbie. Tutaj, w spirytyzmie, te nieświadome wibracye mózgu działają przybrane w ciało „ducha.“ Po za świadomemi przekonaniami, istnieją inne, tajne, złożone z ulotnie zasłyszanych faktów. Wszystko to teraz pod postacią „ducha“ układa się w pewną całość. Z. postępuje względem wuja w pewien sposób; tymczasem doświadczenie stworzyło szczególną cerebracyę, która głębiej pojmuje charakter wuja a teraz, wyładowawszy się w postaci ducha, daje swoje rady. Może źródło niejednego instynktu, przestrzegającego nas przed tę lub inną osobą, jest niczem innem, jak głosem takich nieświadomych wibracyj. Sądzę, że posiedzenia spirytystyczne, gdyby do nich wszedł człowiek uważny i poprowadził je odpowiednio, dałyby mu klucz do zrozumienia charakteru wielu osób. Nasze postępki zależą od idej, które nabyliśmy, ale w głębi ukrywają się różne instynkty, czekające tylko sposobności. Ów górny pokład znika we śnie i kto badałby swoje czyny, popełniane podczas bezwładności sennej, swe instynkty, które budzą się podczas dramatu sennego, złapałby się za głowę na widok, co w nim się ukrywa. Otóż to nieświadome podścielisko występuje u spirytysty, natura jego umysłowości, na jawie ukryta, lecz nie mniej przykładająca się do postępków, jego instynkty zamaskowane, jego chęci, zduszone a raczej duszone na jawie, wszystko tam wyładowywa się — „duch“ mówi.

Nie mamy dotychczas autobiografii spirytystów, kiedy po raz pierwszy stykają się z „duchami.“ Zdaje się jednak, że taka znajomość możliwa jest tylko w stanie pewnej pustki wewnętrznej. Epoka obecna, która na wielką skalę stwarza atomy ludzkie i samotnych rozbitków, powinna sprzyjać niezmiernie ich ukazywaniu się. Oświata nie może temu zapobiedz, ani „sceptycyzm,“ który często jest sceptycyzmem blagującego osła lub gadatliwej papugi i istnieje, ponieważ taka jest moda, zwłaszcza iż wykształcenie staje się coraz większą blagą, daje wiadomości rzemieślniczo-medyczne, matematyczne, ale umysł nie posiada przetrawionej filozofii. Dodajmy do tego, iż pod przykryciem nałapanych kawałków wiedzy i niezwiązanych ogólników drgają w postaci nieświadomej wibracyi niezburzone, lecz tylko przykryte inną warstwą idej przesądy dzieciństwa, oczekujące tylko sposobności do zabrania głosu.

J. Wojewódzki.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA WŁOSKA.

Dante Allghieri. Bartoli, Storia della letteratura italiana, t. V.

Legenda Dantego dotychczas rozproszona nie została i dotychczas nie ustąpiła z historyi. Dla braku jakichkolwiekbądź wiarogodnych danych biografia poety z każdym wiekiem się zmieniała. Każda epoka przyodziewa go w te cechy, któremi sama się odznacza. Tą koleją Dante przechodził stopniowo fazy teologa-humanisty, sceptyka ze szkoły Machiavella, nowo-platończyka, nawet carbonaryusza, a gdy w czasach obecnych krytyka zaczęła się uganiać za złożonością duchową, „tragedya Dantego“ polegała na połączeniu wszystkich cech powyższych w jedną całość, zupełnie chimeryczną. Przytem kult dla poety, być może jako skutek nierozumienia, był tak wielki, iż nie chcąc wystawiono go na piedestale i każda z tych postaci była zwykle posągiem, w pełnem tego słowa znaczeniu, wyciosanym z marmuru, zawsze tym samym, niezmiennym. Wszystkie te wizerunki są fałszywe i śmiało można twierdzić, iż biografia Dantego dotychczas nie istnieje. Bartoli poświęcił V-ty tom swej „Historyi literatury włoskiej“ rozproszeniu legend wysnutych przez fantazyę kilkudziesięciu pokoleń i kilkuset pisarzy. Zwłaszcza ci ostatni i zalew drukowanej bibuły, którego byli źródłem, sprawili, iż trudno jest wyłowić nawet kilka wiarogodnych, niewątpliwych danych o życiu Dantego — takie zaś niegdyś istniały. Trudniej jeszcze jest odszukać myśl pierwotną poety, zatopioną w fali komentarzy i dowolnie przypisywanych mu intencyi. O napisaniu biografii naukowej Dantego z określeniem istotnej jego roli w polityce, filozofii i literaturze swego czasu, epoki zapomnianej,

---

do tego zaś trzeba pięciuset niewolników, szaty te bowiem są tak długie, jak stąd do Ramstadu.

— Ach!..

— A każdy niewolnik ma niewolnicę, młodą i piękną, jak najpiękniejsza róża, a świetną, jak słońce; niewolnice te mają oczy, jak gwiazdy; bo tylko takie, które jak księżniczki są wspaniałe, mogą przebywać w pałacu. I śpiewają one piękne pieśni, i grają na lutni i na cytrze, a nocą krążą po wielkich ogrodach, pod cieniem wysokich palm i cedrów libańskich, każda z oblubieńcem swoim, i kochają się wzajemnie, i całują się. A kiedy dość już mają spaceru, wracają do pałacu i kładą się w miękką pościel jedwabną i śpią obok siebie, póki nie powstanie Hadonald Raskji i nie uderzy w wielki dzwon, którego odgłos rozbrzmiewa po całej Arabii.

— Pojedziemy tam? — spytał Gunnar.

— O tak, tylko że daleko. Najpierw trzeba jechać przez morze, a potem przez rzekę Ren, wiele setek mil; wtedy przybędziemy do Flandryi i Burgundyi, potem do cesarza rzymskiego, a potem do państwa niemieckiego, a potem przez Turcyę.

— To tam, gdzie jedzą mięso ludzkie?

— Tak, ale my wydamy się za pielgrzymów, idących do grobu świętego, a wtedy nie tkną nas. A potem powędrujemy przez Tunis i przez kraj, w którym mieszkają „niebiescy ludzie“; tam nie wydamy się za pielgrzymów, więc nie uwiężą nas. Powiemy im, że idziemy do grobu Mahometa, bo to gorsi jeszcze od turków poganie.

— Hu, będę się bał.

— Nie, nie bój się, bo i oni mają na tyle sumienia, że prócz rycerzy i wojaków, nie mordują nikogo. Postępować będziemy przebiegle, spokojnie, śpiewać im będziemy pieśni piękne, a nie uczynią nam nic złego, dadzą natomiast jadło i nocleg, będą dla nas uprzejmi — zwłaszcza kobiety.

Carolus zaczął kopać trochę, lecz taki był zatopiony w swoich marzeniach, że robota na włos nie postępowała.

— Czy nie moglibyśmy uciec? — spytał Gunnar zcicha.

— Tak, w ciemną noc, kiedy wszyscy spać będą, a nikt się niczego nie domyśli, wstaniemy, weźmiemy ze sobą wszystko, czego nam potrzeba, suknie, żywność, złoto, srebro i uciekniemy przez łąki na morze. Tam popłyniemy czółnem, póki nie spotkamy okrętu; okręt przyjmie nas na pokład i pojedziemy do Flandryi. Wtedy nikt już nas nie dogoni.

— Ach, aby prędzej!

— Tak, skoro tylko dorośniesz, bo inaczej, widzisz, mogłoby im wpaść do głowy, żeby odstawić cię napowrót na ląd.

— Ale ty poczekasz, Carolusie?

— Poczekam, lecz za to przyrzekniesz mi, że z pewnością ze mną uciekniesz?

— O przyrzekam, przyrzekam — z pewnością, z wszelką pewnością!

Nagle Carolus tak spiesznie zaczął kopać, że aż ziemia na wszystkie strony fruwała.

— Ojciec przychodzi — szepnął. Uf...

— A możesz mi powiedzieć, kto to przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy żył, nie przyjmując żadnego pokarmu... Ach, oto jest i ojciec — zawołał zdziwiony głosem pełnym największej radości. Późno się zrobiło — skarżył się dalej. Nie gniewajcie się jednak ojcze, wpadło mi na myśl zadawać Gunnarowi pytania z historyi świętej, a tak to się nam podobało, że zapomnieliśmy się trochę.

— Pomogę wam — odparł Enoch krótko. Wszystko należy czynić w swoim czasie, pamiętaj o tem Carolusie!

Za opowieści płacić musiał Gunnar haraczem. Carolus nakłaniał go do „ofiarowywania“ mu rozmaitych rzeczy, albo też zamieniał się z nim, dając błyskotki i drobiazgi a otrzymując przedmioty cenne. Lecz prawdziwa przyjaźń zawiązała się

ginącej w mroku legend niejasnych, mowy jeszcze być nie może. Co najdalej można postawić sobie za zadanie określić, czem Dante nie był — gdyż biografowie i komentatorzy poety mieli na wszystko dotychczas gotowe odpowiedzi—i opierając się na kilku ścisłych danych, które tego rodzaju praca krytyczna dostarcza, można budować różnego rodzaju przypuszczenia i hypotezy.

Krytyczne te badania prowadzili głównie pisarze współcześni: G. Carducci, d'Ancona, R. Renier, Gaiter, Fiazi, della Giovanna, V. Imbriani i Bartoli, który zebrał wszystkie rezultaty tych prac w swojej „Historyi.“ Ani ścisła data urodzenia, ani nawet pochodzenie Dantego nie są znane. Nie wiemy też nic prawie o latach jego dzieciństwa, ani o wychowaniu, które otrzymał w rodzinie i szkołach. Co ważniejsza nawet podanie o Beatryczy Portinari, ustalone od czasów Boccacia i oparte na jego świadectwie, musi być odrzucone. Miał ją zobaczyć po raz pierwszy dziewięcioletnim chłopcem i od tego czasu pałać ku niej znaną, nieziemską, mistyczną miłością, jakkolwiek powtórnie widział ją dopiero po ośmiu latach i miewał z nią tylko rzadkie, towarzyskie stosunki. Otóż tożsamość Beatryczy Portinary z „gentilissima donna,“ która pod imieniem Bice jest bohaterką „Vita Nuova“ i prowadzi następnie poetę do raju, została obecnie ostatecznie przez krytykę odrzucona. „Gentilissima donna“ nie wyszła za mąż — sam Dante nam to powiada — podczas gdy Beatrix Portinari wyszła za Simona di Barri. Imię więc bohaterki i romans dziewięcioletniego chłopca ginie, ale pozostaje jakaś tajemnicza nieznajoma i namiętna o mistycznym charakterze miłość ku niej Dantego. Nie nazywała się prawdopodobnie Beatryczą, poeta obrał to imię, gdyż nadawało się do gry słów z wyrazem *beata*. Mniejsza zresztą o imię: osoba realna niewątpliwie pod niem się kryje. Dość przeczytać sonety pisane dla niej przez dwudziestoletniego poetę, aby się o tem przekonać. Naprózno więc zaprzeczano jej istnienia, czyniąc z niej symbol Teologii czy Objawienia, czy też Potęgi cesarskiej. W prawdzie później, gdy ukochana Dantego umarła, miłość jego przybrała charakter manii mistycznej i poeta mógł je utożsamiać z Filozofią, Teologią lub Wiarą, tak samo, jak ślady manii mistycznej, która miała następnie tak potężnie się rozwinąć, znajdujemy u Mickiewicza, gdy był u szczytu swego geniuszu. W istotnym geniuszu można zawsze odnaleźć ślady maniaka, a krytyka analityczna dostarcza obecnie niesłychanej masy dowodów dla teoryi Lombrosa. W Dantem znajdujemy wszystkie oznaki umysłowości chorobliwej: podlegał wizyom i halucynacyom, a częste utraty świadomości, które miewa w „Komedyi,“ po wielkich wzruszeniach, są prawdopodobnie tylko odbiciem rzeczywistych faktów histeryi lub epilepsyi. Bezpośrednich na to dowodów nie mamy, ale krytyka współczesna chętnie do przypuszczenia tego się skłania. Niestety, jest to rzecz nadzwyczaj trudna do sprawdzenia, nietylko względem Cezara, Mahometa lub Dantego, ale nawet względem Napoleona lub Mickiewicza, nietylko dla braku dowodów względem rzeczy ukrywanej, ale także dla masy przesądów z tą kwestyą związanych, fałszywie pojmowanych kultów i dumy wielkich ludzi. Znajdujemy się tu zresztą wobec sprawy czysto naukowej, która ze wszystkimi tymi względami liczyć się nie może i nie powinna. Nasze „ja“ nieświadome wciąż wylewa się z brzegów, w których świadomość chciałaby je utrzymać. U ludzi normalnych zostaje ono zawsze w tem łożysku, u genialnych — wychodzi zeń peryodycznie, w chwilach „natchnienia.“ W takich chwilach świadomość albo zupełnie gaśnie, albo tli się nieznacznym płomykiem, na pierwszy zaś plan występuje nieświadoma, odruchowa działalność mózgu. Dawniej pojmowano, iż w chwilach takich na poetę zstępuje duch, „geniusz,“ obecnie można przypuszczać, iż znajdujemy się wobec pewnego rodzaju ataku nerwowego o charakterze chorobliwym. Jest to, być może, zwyrodnienie, ale zarazem i źródło doskonałości. Cała sfera życia duchowego, która w normalnym mózgu znajduje się pod kontrolą świadomości, w nienormalnym wydostaje się z pod niej i dlatego właśnie jest tak doskonała w swych skutkach, jak doskonałą funkcyą jest np. chodzenie: wszystko w niej odbywa się na ścisłych zasadach matematyki i mechaniki. Ale doskonałość swą zawdzięcza ona tylko temu, iż stała się mechaniczną i wyszła z pod kierownictwa świadomości. Gdybyśmy zaś chcieli chodzić na zasadach nauki i obmyślać jaką kość, jaki mięsień, jakie ścięgno poruszyć, nigdybyśmy kroku nie zrobili. Otóż funkcye mózgu genialnego w chwilach natchnienia są czysto mechaniczne, odruchowe i dlatego właśnie są źródłem doskonałości. Są myśli i obrazy, kryjące się w najgłębszych, mglistych krańcach ducha, które mogą wystąpić na jaw tylko nieświadomie i niepostrzeżenie — jak kwiat rozkwita niepostrzeżenie w ciszy nocnej — gdy zaś staramy się oświecić je promieniami refleksyi, zacierają się, pierzchają i nikną. Czytaliśmy niedawno wyznanie Puszkina, iż najlepsze swe utwory widział *we śnie*. Subtelny obraz, jeżeli odrazu gotowym nie wyjdzie z pod pióra, zostaje przez poprawki tylko popsuty. Nieświadoma odruchowa działalność mózgu jest podstawą twórczości: w mózgu genialnym przybiera ona chwilami potężne rozmiary i wyraża to, czegoby nigdy w stanie normalnym nie wyraził. Badanie chorób nerwowych, którym podlegali ludzie genialni, jest rzeczą pierwszorzędnej wagi: tylko ono może rzucić pewne światło na istotę natchnienia i geniuszu.

(D. n.).

L. W.

LITERATURA POLSKA.

T. T. Jeż. *Ze wspomnień odeskich*. Petersburg.

Sędziwy autor zapragnął podzielić się z czytelnikiem wspomnieniami z młodzieńczej swej doby. Lata owe zwykle bywają okresem znamiennym, warunkują charakter moralny, ideały osobiste i społeczne, nawiązują nici sympatyi ze światem ludzkich dążeń i upodobań. Życie duchowe płynie wówczas potokiem wartkim i migotliwym, myśl zrywa się do lotu, uczuciowość dźwięczy nader rozległą skalą odgłosów. Okres ów tem ważniejszy jest w życiu artysty, pisarza. Wówczas występują już skrawki złotych snów o przyszłej twórczości, duch młodzieńczy chętnie szybuje w promiennej, lecz nieokreślonej krainie rojeń i pomysłów.

„Wiek młody jest wiosną — zagaja swą pracę autor — uśmiechającą się urokami, rozdzwaniającą wróżbami i nadziejami, ukazującemi przyszłość na kształt idącego w nieskończoność pochodu tryumfalnego.“ Jak świadczą jednak dalsze zwierzenia, doba młodzieńcza Jeża nie była epoką rojeń górnych. Urodzony w skromnej sferze szlachecko-ziemiańskiej, nie mógł doznawać szczególnych zakłóceń ani wewnętrznych, ani też zewnętrznych. Życie toczyło się falami spokojnemi i powolnemi, bez burz i błysków. Epoka, poprzedzająca czasy uniwersyteckie, upamiętniła się dwoma

---

między chłopcami dopiero wtedy, gdy wzajem wypróbowali się przy okoliczności poważnej.

Gunnar posiadał coś, co ukrywał przed Carolusem — mały woreczek z szelągami. Woreczek zrobiony był z materyi bronzowej w niebieskie paski, szelągi zaś były darem malarza Tronda. Było ich w nim dwanaście i pół, Gunnar obawiał się tedy, że Carolus skarb ten zapragnie mieć, gdy go zobaczy. Dlatego ukrywał sakiewkę w bocznym przedziale matczynej błękitnej skrzyni — w spiżarni.

Ale wskutek tego o sakiewce zapomniał.

Pewnej niedzieli, popołudniu, zaszedł z Carolusem na miejsce, gdzie znajdowała się skrzynia.

— Co w niej jest? — zapytał Carolus.

— Samo suknie — odparł Gunnar, uchylając wieko — niczego sobie nie przypominał.

Carolus swoim zwyczajem zaczął grzebać, przeszukiwać; wydobył sakiewkę.

— A to co? sakiewka... z szelągami, to twoja?

Gunnar usiłował odebrać mu woreczek.

— Tak, otrzymałem to od Tronda, malarza; pieniądze są mi potrzebne, kupię sobie za nie czapkę.

— Nie bój się, nie wezmę ich — rzecze Carolus. Jeden, dwa, trzy... dwanaście i pół; ha, ha, myślisz, że za to dostaniesz czapkę? Gdzież tam, bratku. Ale moja matka dostarczy ci czapki nowiuteńkiej a eleganckiej, ze złotym sznurem i podbiciem z puchu. Daćjej pieniądze? Na wiosnę będziesz miał czapkę.

Koniec był taki, że Carolus wziął sakiewkę.

Aż tu pewnego dnia przychodzi jakiś człowiek któremu należało zapłacić i pokazuje się, że ojcu brak ośmiu szelągów. Więc matka mówi:

— Możebyś pożyczył ojcu, Gunnarze?

Gunnara przebiega dreszcz. Carolusa w domu nie ma, a on ani się domyśla, gdzie jest sakiewka.

— Prawda — mówi Enoch — gdzie twój woreczek?

— W bocznym przedziale mojej niebieskiej skrzyni — odrzekła Anna.

Enoch idzie szukać.

Gunnarowi ćmi się w oczach. Zgaduje, co go czeka. Ciężko mu się robi na sercu, na płacz mu się zbiera. Ojciec wraca.

— Niech ci szukają, którzy go schowali. Ruszaj, Gunnar!

Chłopiec rozumował sobie, że jeżeli skłamie, dostanie cięgi, a jeżeli wyzna prawdę, to także dostanie cięgi; nadto w tym razie miałby Carolusa za wroga. Najlepiej więc — kłamać.

— No?! — krzyknie ojciec.

Gunnar mruczy coś pomiędzy zębami, nie może jednak wydobyć z siebie żadnego dźwięku; tak trudno wykrztusić to kłamstwo.

— Co tam mruczysz? — i ojciec zbliża się.

— Nic... nic wiem, gdzie jest sakiewka.

— Nie wiesz, gdzie jest sakiewka?..

Enoch patrzy na chłopca tak, że aż go wzrokiem tym mrozi.

Po osiem szelągów posłano do sąsiadów; póki obcy był w domu, Gunnar czuł się bezpiecznym. Siedział na ławce, przy stole, sino-blady, jak gdyby oczekiwał śmierci. W uszach mu dzwoniło, w całej izbie dudniało; ach, gdyby tylko Carolus nadszedł, gdyby nadszedł. Ale, to może on? Nie, Serina przynosiła szelągi. Niema pomocy, niema!

Zapłacono przybyszowi, który odszedł. Teraz już po wszystkiem...

(D. c. n.).

rysami tylko: pisywaniem wierszy i kochaniem się. Miłość składała się z półdźwięków, półtonów. „Pomiędzy nami nic nie było“ — bo nawet do pocałunku nie przyszło. „Ona mi dawała — wyznaje autor — niezapominajki, którem starannie, niby skarby, chował; ja w zamian ofiarowywałem jej od czasu do czasu po kilka dłuższych lub krótszych strof. Na rozmowach wszystko się kończyło, na rozmowach, w którym wyraz „kocham“ nie zabrzmiał ani razu. Dziś już nie pamiętam, co ich treść stanowiło. Przypominam sobie jeno, że nas mocno zajmowały. Przesiadywaliśmy nieraz we dwójkę długo w noc; rozstawaliśmy się, mówiąc sobie „dobra noc,“ przy akompaniamencie mocnego, wyrazistego uścisnienia dłoni; rozchodziliśmy się i nazajutrz rano bardzo spotykaliśmy się przy krzaku porzeczek lub agrestu i rozmawialiśmy dalej.“ Żadnych okoliczności zewnątrznych autor nie przytoczył, nie wiemy kiedy i gdzie się to działo, jak długo trwał ten przelotny i wątły „związek dusz.“ Pamięć i wyobraźnia Jeża okazała się w tym razie słabą. Zamiast barwnego obrazu mamy kronikarskie zaznaczenie gołego faktu. Zresztą odgrywają tutaj przemożną rolę właściwości przyrodzone jego temperamentu i umysłu. Nie posiada on wybujałości erotycznej, ani też wrażliwości i pamięci odcieni różnorodnych i wielobarwnych przejawów duchowych. Jasnowidzenie wrzawliwego i niespokojnego rojowiska uczuć i myśli zawsze było słabe i krótkozwroczne. Szczególnie nie jest zgoła artystą w odczuwaniu i malowaniu wewnętrznej muzyki duszy. Wymykają się całkiem mu wszelkie subtelne melodye. Dziedzina uczuć półdźwięcznych i ukradkowych porywów tęsknych, pożądań bezwiednych, wzruszeń, ozłoconych brzaskami zórz zagadkowych, zawsze była szczelnie zawarta przed nim. Zresztą w tamtej epoce podrostki ze sfery średnioszlacheckiej posiadali bardzo dużo świeżości. Świat ich uczuciowy był zaciszny i ciasny. Tęsknoty uczuciowe sączyły się strumieniem jasnym i powolnym.

Talent poetyczny Jeża nie zaznał prawie wcale poklasku i pieczy; prędko więc uwiądł i zamarł. Ojciec na talenty tego rodzaju spoglądał bardzo pesymistycznie, odżegnywał się od nich stanowczym, bezapelacyjnym frazesem: „po Mickiewiczu kiep chyba porwie się do pisania wierszy po polsku.“ Przed wysłaniem syna do Odesy wyraził życzenie, iżby przestał męczyć Pegaza. Zmieszany chłopiec pośpiesznie dał słowo. Przez cały czas pobytu w liceum dwóch wierszy nie skleił. Poezya całkiem go odbiegła. Widoczna, iż nie była nigdy żywem, przyrodzonem źródłem jego twórczości duchowej. Natomiast do duszy Jeża wkradały się już brzaski przyszłej działalności literackiej. Przedświt atoli był blady i nikły, nie zapowiadający i nie rokujący nic osobliwego. Odesa zaimponowała mu wielce. Było to pierwsze wielkie miasto, jakie ujrzał. Droga i Odessa uderzyły wyobraźnię jego całą masą barwnych szczegółów i odrębności nieznanych i nie widzianych. Cała fala tych wrażeń przeszła przez duszę młodą i świeżą, stukały one do niej, lecz nie przenikły do głębszych pokładów i nie rozbudziły ich. Pierwotnie, ulegając woli ojca, wstąpił na prawo. Zawsze nęcił go jednak wydział matematyczny, wkrótce przeniósł się nań. Do matematyki jednak nie posiadał szczególnego uzdolnienia. „Natura obdarzyła mnie — mówi — pojętnością, uczyłem się matematyki z łatwością taką samą, jak historyi, geografii i innych nauk. Jeżelim uzdolnienie szczególne okazywał, to w kierunku literackim, do któregom się nie garnął zgoła. Karyera literacka nie nęciła mnie — nawetem (sic!) jej nie rozumiał. Wierszowałem dla siebie, dla wypowiedzenia udatnie i dosadnie czegoś, co pod osłoną lewych ziober (?) świdrowało (miłości pierwszej).“ Z niewielkimi zasobami duchowymi rozpoczął Jeż wyższe studya. Okoliczności ówczesnego życia ogólnego i jego własnego złożyły się na to. Sfera umysłowych interesów była szczupła.

W Odesie stanowił on przeciwwagę dla wszelkich wpływów ujemnych i pobudkę do utrzymania się na wyższym poziomie. Wydział matematyczny obejmował także nauki przyrodnicze, historyę powszechną ruską, literaturę itd. Jeż przykładał się gorliwie tylko do matematyki. „Ani kieliszek, ani karty, ani podwika mnie nie pociągały“ — zaznacza Jeż bez chełpliwości i zbytniej skromności. Upił się raz tylko w dzień swoich imienin. „Ciekawość moja w kierunku płci niewieściej wyminęła szczęśliwie parę szkopułów, grożących rozbiciem.“ Do teatru chodził chętnie; przyłączył się do zwolenników p. Scalesi, młodziutkiej i prześlicznej śpiewaczki. Pierwsze wakacye spędził na wsi u brata ciotecznego, pędząc życie prawie obozowe, ustawicznie uganiając się na koniu, polując, kąpiąc się. Powrócił z dostatecznym zapasem zdrowia fizycznego i moralnego. Odbył się ferment, nastąpiło skrystalizowanie się charakteru i temperamentu. Jeż o ważnym takim przełomie powiadamia nas sucho i ogólnikowo. Prędko bardzo ujął siebie w karby pracy i obowiązków. Wrzenie wewnętrzne ucichło i ustaliło się. Musiał doglądać młodszych braci, uczęszczających do gimnazyum. Życie koleżeńskie było słabo rozwinięte. Młody Jeż bywał w paru domach, gdzie mógł zaspakajać swoje zamiłowanie do literatury. „To mi się podobało tembardziej — dodaje — że rozprawy literackie kończyły się niekiedy skakaniną improwizowaną.“ Z przyjemnością także chodził na polowanie, chociaż łupy myśliwskie były bardzo skąpe. W zakończeniu powiada Jeż: „Co się mnie osobiście tyczy, ręka by mi pierwiej uschła, zanimbym na Odesę cisnął kamieniem. Mam jej niemało do zawdzięczenia. Wyniosłem z niej systematyczność w poglądach, co zapewne nastąpiło za (sic!) wpływem matematyki, posiadającej własność porządkowania władz myślenia. Rozbudziłem z niej w sobie postrzegawczość, zdobywając dane wiadome, które mi następnie posłużyły do układania formuł, celem rozwiązywania zagadnień. Paletę moją Odesa zaopatrzyła w farby...“ Całemu ówczesnemu trybowi życia zawdzięcza Jeż, iż nie stał się wykwintnym epikurejczykiem, sybarytą duchowym, nie zamknął się w kwietyźmie. Siły umysłowe rozwijały się prawidłowo i równomiernie. Pomiędzy jego umysłem a światem zewnętrznym nie wtłaczał się zlepek fantastycznych lub metafizycznych idej, uniemożebniających dokładne uprzytomnianie sobie zjawisk. Idee układały się równomiernemi warstwami w duszy. Uczuciowość poczynała już być kołysana wrażeniami artystycznemi.

Opowieść została skreślona z wielką prostotą i szczerością, co nastraja czytelnika bardzo sympatycznie. Wszystkie właściwości Jeża odbiły się w niej: rozwlekłe gawędziarstwo, mało pogłębienie psychologiczne, niewysoka moc artystyczna. Nie zadał sobie autor wiele trudu w wydobywaniu i szeregowaniu wspomnień.

Stefan Olenycz.

D. Bączkowski. *Jutrzenka*, Kijów.

Z pewnym przestrachem bierze się zwykle do ręki każdy nowy zbiorek poezyi. Bardzo często bowiem zalotnie narzucony płaszcz wierszowania okrywa treść banalną i nikłą. Pasmo „poetyckiego natchnienia“ najczęściej składa się z pierwiastków mdłych i pospolitych: pacholęca gwara uczuciowa i myślowa, niedołężne podloty w sferę ideału, miotania się „idealne“ w próżni duchowej. Rój zdawkowych uczuć i myśli obsiada nas natrętnie. Zdaje się, jakoby współcześni poeci wybrali sobie za hasło naczelne okrzyk: „Obce są nam wrażenia żywych.“ Pieśni więc ich nie drgają i nie dźwięczą echem w duszy czytelnika.

Cóż dorzucił p. Bączkowski do skarbnicy naszej poezyi, z jakich kwiatów, sztucznych czy prawdziwych uwita jest jego wiązanka? Zagajeniem zbiorku stanowi wiersz: „Pierwsze kroki.“ Z objęć siostry w objęcia matki maluczka stąpa dziecina, nieliczne kroki jej pełne są zwątpienia. ,I po co jęk ten — woła autor — po co obawa? Czyliż się lękasz rozbicia? Śmiało! twych kroków nie spotka sława, lecz matka zyska dzień życia.“ Można uważać to za rekomendacyę autora. Sławi krzyż — największy skarb tego świata, co wybawił nas z niewoli czarta. Ostatni ustęp brzmi: „Krzyż jest ozdobą berła, korony, niemniej też zdobi on pierś wieśniaczą. Niechże więc mędrcy powiedzieć raczą, czy krzyż nie godzien naszej obrony?“ W „Pieśni koleżeńskiej“ zdobywa się na takie tylko nizkolotne wezwania: „Niech nam w sercach miłość płonie; niech szczerością mowa tchnie; co się w naszem dzieje gronie, niech z nas każdy o tem wie.“ Letnia woda sentymentalnych morałów i gdakań czułostkowych bije fontanną z „utworów“ p. B. Autor zaleca być, „jak strumień cichym zarówno w szczęściu, jak w chwilach cierpienia.“ Głęboką tajemnicę wykrywa: „Bóg... przeklął Izraela i rozsypał go wśród ludów za to, iż ten świadek cudów był zabójcą Zbawiciela...“ Lecz p. B posiada temperament łagodny, nikomu źle nie życzy. Więc i żydom pokazuje gałązkę oliwną nadziei i wybawienia: „Ale przyjdzie też godzina, kiedy przejrzy synagoga i nawróci się do Boga i uwierzy w Jego Syna!“

Nie podobna streszczać tej... poezyi. Niezdarność absolutna i nicość bezdźwięczna aż krzyczą. Nadto silna jest woń próchna. Kołczan artystyczny p. B. jest całkiem próżny. Nawet tuzinkowy poeta musi posiadać jakiś zasób wrażeń, uczuć, myśli, a także zewnętrzne przybory artystyczne. Muza p. B. jest całkiem sędziwa i bezpłodna; niech więc porzuci chęć wydawania na świat niedołężnego potomstwa.

Bron.

ZBAWCY LITERATURY

V.

Gdzie nie ma czci dla społeczeństwa, gdzie pisarz nie jest choć trochę pelikanem, tam żadne mistrzowstwo stylu i rymu nie da mu nieśmiertelności. Mogą sobie francuzi stawiać Teodora Banville'a na równi z Goethem — ludzkość przejdzie nad nim do porządku dziennego, jak nad większością umysłowych Lukullusów Paryża. Kto jak Tymon Ateńczyk radzi nam czemprędzej zawisnąć na stryczku, bo ma zmiar ściąć drzewo specyalnie służące wisielcom, jest społecznym kaleką, gdy piękno musi być pełnią ducha. Zmysł społeczny choć jeszcze w zarodku, doszedł przecież do tej siły, że się zżyma na widok indyferentyzmu, jak się zżymali grecy na widok kalectwa w sztuce. A przecież większość naszych powieści i utworów scenicznych, podszywających się pod satyrę społeczną, zawiera jedynie ciekawe lub zabawne *sytuacye*.

Lecz jeśli już ów żywioł zbiorowości zdołał przeniknąć pisarza, to powtarzamy, mniejsza o jego wygląd ze stanowiska doktryny, byleby tkwił w nim charakter i siła. Liryzm filantropijny, czy arystokratyczny, czy chrześciański, jeśli wybucha z taką mocą, jak u Krasińskiego lub u Paludana Müllera, niczem nie ustępuje socyalistycznemu.

Wielki talent jest sam przez się nowatorstwem, siła pióra i potęga czucia zawsze stają w poprzek upodobaniom i nałogom tłumu. Rzecznik ideałów minionych staje się bezwiednie kacerzem dla własnego stronnictwa z chwilą, gdy zamiast przeciętnie i statecznie je wyobrażać, wlewa w swe przedstawicielstwo zakazaną energię i przekonanie własne. Między spalonymi na stosie więcej było może przyjaciół kościoła, niż wrogów, ale tem grzeszyli, że jak Savanarola, czuli i działali na własny rachunek.

Nie ma wątpliwości, że bóstwo postępu jest orędownikiem wpływowym i pisarz, który pod jego sztandarem staje, łacniej wypowie coś nowego, niż ten, co pragnąłby świat cofnąć, choćby w najlepszej wierze, ze działa w duchu Danta. Lecz jeśli dokaże tej sztuki, że szkielety dawnych olbrzymów wskrzesi i zgasłą aureolę im przywróci, będziemy ich podziwiać. Ale z pewnością wyższym będzie nad wszelkie barwy partyjne, duch pisarza o tyle rozległy, potężny i bystrooki, że wyłoniona z niego suma czucia, filozofii, miłości, psychologicznej i społecznej prawdy zdoła przetrwać wstrząśnienia społeczne i nie straci uroku nawet po ziszczeniu się wielu, wielu nadziei. Nad dokument ludzki lub historyczny warte więcej takie pismo, co potrafi przyspieszać bicie serca dalekim pokoleniom.

Pozowanie na znawców potrzeb i spraw społecznych, na pisarzów tendencyjnych urosło w chorobę nagminną, której wytworem są takie dwupłciowe, cudaczne twory ludzi skądinąd zdolnych, jak *Prawa serca*, *Bankruci*, *Szary proch* i *Błękitni*, *Mechesy* i *Mgła*, *Najmłodsi*, *Nafta* i *Dzielna kobieta* i cały legion podobnych, przeciętnych, umiarkowanych, przykładnych i budujących i co najgorsza, rozumiejących duszę społeczną z jednego jakiegoś artykułu. Obok nich zawsze rodzaj arystokracyi stanowić będą i inne, które nie koniecznie uszczęśliwiają ludzkość wyszarzanem: „czyń każdy w swojem kółku itd.," ale szczere i odczute, jak *Śmierć* Dobrowolskiego, jak *Na przełęczy* Witkiewicza, jak *Marzenia* Brolisa, jak *Pająki* Junoszy, jak *Pan jednej Piszczalski* Dygasińskiego. Są to dzieła jednostronne, ale wyszły z pod pióra ludzi, którzy swój zmysł społeczny noszą nie w notatniku, ale w głębi ducha, a sympatyę dla ludzi lub pewnej idei czerpią nie z dzienników, lecz z głębin własnej nawskroś uspołecznionej duszy. Krytyka stojąca na wysokości wieku może im zarzucić dużo rysów przedawnienia i wszelakich innych braków, ale w nich uzna myślących i czujących *własnym kosztem* artystów.

Jedną znam „czerwoną" cechę prawdziwie nowoczesnego krytyka, lub może ona będzie taką dopiero w przyszłości: jest to *intensywne*, nieprzejednane sumienie estetyczne. Sędzia literacki winien być nieubłaganym, jak członek ateńskiego areopagu. Najlżejsze odstępstwo od wysokiej miary, jakiekolwiek pobłażanie dla bezsiły i bezcharakteru, dla pozy i bezmyślnej zręczności odbija się na setkach tysięcy czytelników o zdaniu niewyrobionem, na całej literaturze, którą rozwadnia, na samych autorach, którzy przestają się wówczas pogłębiać i jak to np. widać po reporterskiej manierze Kosiakiewicza albo po marnym *Tamtym człowieku* Belmonta, spadają, zamiast jechać w górę. To samo zdarzyło się i z Esteją, dzielną ale jednostronną i nieraz trochę niegramatyczną Ostoją i Rodziewiczówną, to samo wywróżyłem swego czasu Szymańskiemu, to samo było z autorem *Leny*. Takich obrazów szybkiego upadku żadna literatura świata nie przedstawia. Czyja to wina? Zbawców literatury. Sądzę, że lepiej już jak autor *Larika*, Gadomski, zamilknąć zupełnie, niż w kwiecie wieku tracić jędrność, siłę, powagę i stawać się zwyczajną paszą odcinkową dzienników.

Sumienie estetyczne to wogóle rzecz dziwna i tajemnicza. Pojmuję, że można zadać gwałt skrupułom moralnym i wejść w układy z cudzą etyką. Ale zdaje mi się, że krytyk, który może przenieść na sobie, ażeby zadać kłam wewnętrznemu głosowi czy to przez niedocenienie, czy przez przecenienie, czy przez wzięcie do oceny rzeczy dla niego niezupełnie jasnej i zrozumiałej, może być wybornym uczonym, obywatelem, mędrcem, profesorem, ale *estetycznego* probierza nie miał, nie ma i mieć nie będzie.

No, ale to zbyteczne. Jednę z głośniejszych pisarek naszych, bardzo pracowitą, płodną i rozumną zapytano w towarzystwie:

— Jakże głowa pani może wytrzymać taką pracę?

— E, mój panie, do tego głowy nie potrzeba wcale, dosyć mieć rękę.

Dlaczegóż większość opiekunów literatury nie miałaby się urządzać również oszczędnie i prosto...

Cezary Jelenta.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z PODRÓŻY.

(Luźne notatki).

V.

12 czerwca, pomiędzy New Yorkiem a Buffalo.

Zachwycony jestem nie tylko prędkością, ale i urządzeniem tutejszych kolei. Wagony są wązkie, ale bardzo długie, przynajmniej dwa razy dłuższe, niż w Europie. W pośrodku idzie przejście, z obu stron siedzenia, każde na dwie osoby i zawsze przodem do maszyny, oparcia są bowiem ruchome, jak w naszych letnich tramwajach; jeżeli jedzie kilku znajomych, można jedno oparcie odwrócić i wtedy cztery osoby znajdzie się twarzami do siebie. Siedzenia są miękkie, wybite aksamitem, z wygodną poręczą, jak u nas w klasie pierwszej. Olbrzymie okna bez przerwy wypełniają obie boczne ściany, a składając się z kilku części ruchomych, pozwalają rozmaicie się ustawić. W każdym wagonie jest przyrząd z zimną wodą do picia; lampy w nocy rzucają rzęsiste światło, wagon spoczywa na resorach i usuwa wszelkie trzęsienie. Metaliczne poręcze, zasuwki u okien, lampy, podłoga, wszystko lśni się czystością, nieznaną nawet niemieckim kolejom.

* * *

Nigdzie nie widzę dróżników powiewających chorągiewkami, ani szlabanów przy rozdrożu, zamykanych, kiedy pociąg nadchodzi. Troskę o siebie pozostawiono każdemu. Z okien spostrzegam na rozdrożach jedynie tablicę z napisem: *look out for the locomotive* — owa przestroga jest wszystkiem: i dróżnikiem, i szlabanem. Do niej dodano jeszcze drugą: w pewnej odległości od takiego rozdroża wznosi się tablica, głosząca węzłowato: gwizdać! Maszyna gwiżdże i komuś, mającemu przejeżdżać przez tor kolejowy, daje znać o swojej bliskości.

* * *

Demokratyczne tradycye dawnego purytanizmu trzymają się jeszcze mocno. W zakresie stosunków rolnych zrodziły one prawodawstwo *homesteadów*, usiłujące zapobiegać, aby grunta nie skupiły się w nielicznych rękach. W New Yorku ławki w publicznych ogrodach są przedzielone poręczami na pojedyncze siedzenia, nikt nie ukrzywdzi w żaden sposób innych. Ten sam zwyczaj panuje w tramwajach i na kolejach, na których istnieje jedna tylko klasa: „Nie znamy kast, ani stanów, nie mamy też klas," urąga Staremu Światowi yankee. Ale niedarmo w Ameryce istnieją miliarderzy. Pod demokratyczną formułkę podsunęli oni odpowiednią treść! Pociąg, którym jadę, składa się z kilku rozmaitych wagonów. Każdy pasażer zapłacił tę samą sumę za bilet, ale zamożniejszy coś jeszcze dorzucił i korzysta z sypialni. Dniem jest to zwykły wagon, nie zbytkowniej urządzony, niż ten, w którym inni się znajdują; w nocy siedzenia zamienione zostają na łóżka. Jest jeszcze wagon-salon, a z niego wolno korzystać tylko temu, kto złożył nową, zresztą niewielką opłatę. Znajdzie on tutaj fotele na pojedynczą osobę, obracające się około osi, stoliki z gazetami, czytelnię nowości. Może w moim pociągu idzie jeszcze wagon prywatny, służący do użytku tylko jednej rodzinie. Gdybym jechał po linii Hudsońskiej, w tyle szedłby jeszcze wagon obserwacyjny — rodzaj salonowego, w którym połowa, prócz sufitu i podłogi, składa się z olbrzymich tafli szkła, półokrągłej formy. Pasażer jak na dłoni ma przed sobą cały krajobraz okolicy. Kiedy, jak ślimak, siedzę przykuty do tego samego wagonu, kto inny spaceruje po całym pociągu, wysypia się na łóżku, spędza czas na czytaniu gazet w salonie, napawa się widokami w obserwacyjnym apartamencie, a muszę przyznać, że pod okiem przesuwają się urocze okolice, wjeżdżamy bowiem na wyniosłości, okalające wielkie jeziora.

A jednak nominalnie istnieje tylko jedna klasa!..

13 czerwca, Buffalo, N. Y.

Na dworcu oczekuje na mnie dawny towarzysz uniwersytecki, praktykujący obecnie w Buffalo jako lekarz. Dworzec brudny, ciasny, mały, niby chlewek, a jednak ani jedna z naszych kolei nie może się równać z daną linią, Buffalo zas swoją zamożnością kilkanaście razy przewyższa Warszawę. Wystawność tego rodzaju uchodzi tutaj za marnotrawstwo. Przez tłumy przedzieramy się do powoziku, który stoi przywiązany na dalekiej jakiejś ulicy. Właściciel zostawił powóz z koniem bez opieki blizko na kwandrans czasu, wśród ruchu ludności i wozów, w mieście, posiadającem tyleż mieszkańców, co Warszawa. A jednak nikt go nie ukradł! To samo czyni drugi i dziesiąty, wszędzie stoją prywatne powoziki, tak samo strzeżone, tj. niestrzeżone. W drodze zachodzimy do kantoru, tłum nie pozwala nam dojechać. Znowu konia z powozikiem pozostawiamy bez opieki, a kiedy waham się, co zrobić z pledem, mój znajomy z uśmiechem rzuca go do wnętrza.

Jedziemy blizko godzinę. Brudne, zakopcone kamienice, jednakiej architektury, oto widok handlowej dzielnicy, pustej zresztą ku wieczorowi. Wszędzie kolej żelazna przerzyna place i ulice, a żadne szlabany nie ostrzegają publiczności. Dbaj sam o siebie! Szerokie, asfaltowe ulice ciągną się bez końca, drobne jednopiętrowe drewniane domki sterczą wśród zieleni. Wszystkie ulice spotykają się pod prostym kątem, a jeden zakręt podobniusieńki do innego, jak krople wody. Wszystko mąci się i miesza w pamięci, która znużona jednostajnością zasypia.

14 czerwca, Buffalo.

Czy istotnie jestem w Ameryce? Od dwóch dni słyszę jedynie polski język, chociażbym przeszedł dziesiątek ulic, na szyldach czytam swojskie ogłoszenia — ktoś jednocześnie wyrabia nagrobki, posiada agenturę biletów okrętowych i udziela porady adwokackiej! Moc szynków,

nie żyd je trzyma w ręku, ale polak, o tem przekonywają napisy. Przede mną kościół S. Stanisława z olbrzymim trzypiętrowym domem, służącym za szkołę.

Kolonia polska — *polish settlement* — posiada swoją historyę — walki pomiędzy konkurującymi księżmi. Kapłaństwo stało się *businessem*, opartem na prawie, które najlepiej będzie przyrównać do lenów feodalnych. Był ksiądz, robił spekulacye i rósł w dolary, dzisiaj jest wart kilkaset tysięcy. Przyszedł inny, założył nową parafię i rozpoczęła się zażarta kłótnia pomiędzy Stanisławowem a Wojciechowem. Historya to pełna brudów i intryg. Kapłani szli na czele, za nimi, jak trzoda, parafianie. Ponieważ Stanisławowo głosowało za demokratami, Wojciechowo na przekór popiera republikanów. Księża są w Ameryce istotnymi kacykami, a wiara ludu pozwala im wszechwładnie panować i robić grosze. Budowa nowej świątyni jest geszeftem; kapłan za pomocą znajomych skupuje *loty*, przypuśćmy po 9 dolarów za stopę, a kiedy kościół stanie i cena ziemi pójdzie do góry, odprzedaje je po 40. Albo kiedy zyska wziętość, robi 10 tys. fotografij i sprzedaje sztukę po dolarze. Szkoły są źrenicą w ich oku. Wykładają w nich zakonnice, nauka stoi niżej wszelkiej krytyki, a rodzice za to płacą. Do szkółki przy parafii S. Stanisława uczęszcza około 2 tysięcy dziatwy. O szkołach publicznych, angielskich nie wolno pisnąć; rodzicom się wmawia, że tam uczą poganie.

15 czerwca, pomiędzy Tanawanna a Lassalle.

Jadę wśród nieustających plantacyj ogrodowych. Drzewa owocowe ciągną się w równych przedziałach nieskończonymi rzędami. Gdzieniegdzie widać przerwę, pomiędzy sadami rozpostarła się łączka. Z powodu szybkości jazdy gatunków nie mogę odróżnić. Każde drzewo jest obcięte, ostrzyżone, jedno niczem nie odbija od innych. Człowiek nagina przyrodę do swoich życzeń, nadaje jej kształty, które uzna za najwydatniejsze. Sady zdaleka wyglądają niby gaje i drobne lasy. Z pośród zieleni wynurzają się fermy rolników, hodujących owoce — wśród zieleni bierzesz je za chatę leśnika.

15 czerwca, Niagara.

A zatem tylko minuta drogi przedziela mnie od wodospadu! Zapach wody sprawia zawrót głowy, pierś szeroko oddycha po smrodach Buffala, oko, porwane ruchem piętrzących się kaskad, biegnie za szeleszczącą wodą aż het daleko, do odległych urwisk, kąpiących się u dołu w błękicie rzeki a przyćmionych łagodną mgłą — to kurzawa wodna, która tryska z pod stóp wodospadu, unosi się pomiędzy mną a dalszą okolicą. Huk i łoskot, jakby od tysiąca młynów. Robię jeszcze kilka kroków. Zburzona powierzchnia przegina się i niknie, woda z ciemno-szarej staje się na przełęczy jaśniejszą, linia, odgraniczająca obie barwy, rysuje się ostro, kanciasto. Poniżej woda zamienia się na strzępki śnieżnej ławicy. Kurzawa biała bucha kłębami z dołu, jak gdyby w głębinie u nóg naszych ktoś warzył czarodziejskie leki. Wodospad tuż przed nami! Nie widzimy go jeszcze, ale czujemy z tego przełomu, huku, obłoków pyłu wodnego, olbrzymich kłębów piany tam wdali na rzece. Podsuwamy się ku balustradzie i zanurzamy wzrok w dół. Rumowiska czerwonych głazów dymią się, jak gdyby ktoś na rozpalony kamień lał potoki wody, nad nimi wśród obłoków kurzawy chwieje się i buja rozwieszona tęcza, a przez nią przeziera i zielenieje powierzchnia rzeki, którą bruzdzi statek w kierunku wodospadu. Z góry spuszcza się olbrzymia biała płachta — zda się, że jest nieruchomą. Stoimy w obliczu amerykańskiej odnogi Niagary.

* * *

Kolej powrozowa zwozi nas do stóp urwiska, tam, gdzie od wieków nieruchome stoją na czatach olbrzymie głazy. Ścieżka, wykuta na ich karku, prowadzi ku wodospadowi. Im bliżej, tem wilgotniejsza i zdradliwsza. Deszczyk nas rosi — z góry, dołu, boków. Nie, to nie deszcz, cała atmosfera oddycha wilgotnym proszkiem, tak drobnym, jak z najdelikatniejszego pulweryzatora. Idziemy jeszcze dalej po oślizłej skale, póki ogromne prostopadłe głazy nie zagrodziły drogi; obłoki kurzawy suną ku nam i obrzucają rzęsistym deszczem, nogi nie mogą utrzymać się na zdradliwej czerwonej powierzchni. Cofamy się ku przystani, gdzie „Dziewica pyłu“ niecierpliwym świstkiem zaprasza na swój pokład.

W nieprzemakalnych płaszczach ruszamy na jej pokładzie ku obłokowi, okalającemu i całującemu stopy amerykańskiego wodospadu. Kurzawa wodna nas odświeża, wśród południowego skwaru pierś łyka ją chciwie. Proszek drobny zamienia się na... Biorę znowu ołówek do ręki. Kurzawa przeszła w ulewną nawałnicę, wichura zrywa kaptur z głowy, zimno ogarnęło. Teraz przebyliśmy już odnogę amerykańską. Przyglądam się kłębom kurzawy które tryskają z głazów. Jedynie musnęliśmy ją, a już obdarzyła nas ulewą. A jednak jeszcze głębiej w jej szacie, po przez głazy, pnie się pomost, śmiało wkracza w środek mgły i ginie w jej fałdach dla oka. Słońce przygrzewa, para z nas się unosi, „Dziewica“ kołysze się z lekka na fali. Jedziemy w kierunku wodospadu kanadyjskiego. W porównaniu z tem huczącem i kotłującem piekłem wodnej kurzawy, nawałnica, której doznaliśmy przy jej siostrzycy amerykańskiej, wydaje się igraszką. Statek kołysze się coraz silniej a najrozmaitsze żywioły swawolą z nami. Słońce piecze, kurzawa rosi, fala nas podrzuca, huk zagłusza, wiatr zrywa kaptur i rozwiewa płaszcz. A jednak nie zbliżyliśmy się jeszcze do pierwszych kłębów obłoku! Co będzie dalej? Niecierpliwość łechce nerwy. Ale nasz wjazd jakoś trwa zbyt długo — nie, my oddalamy się! „Dziewica“ podwiozła nas tylko i pokazała przedsmak wodnego piekła, a teraz ucieka... Bujna zieloność zwiesza się z urwisk. Na olbrzymiej wysokości widać kilka nici pajęczych, to most wiszący: za nim oko spostrzega jeszcze drugą i trzecią parę podobnych pasemek. To inne mosty, istotne arcydzieła sztuki inżenierskiej. Po jednym z nich teraz pędzi pociąg.

* * *

Na brzegu kanadyjskim suszę się po wycieczce na „Dziewicy pyłu.“ Upał silny, łagodzony orzeźwiającymi podmuchami wilgotnego wiatru. Krople potu mieszają się z wodą, z której jeszcze nie zdołałem się otrząść. Po krytej drodze podnoszę się na górę i wysiłkiem mięśni zdobywam skałę do zmierzenia wysokości spadku. Ilekroć z pod przykrycia skały wyjdę na otwarty zakręt, mimo półmilowej odległości czuję powiew powietrznego prądu, zrodzonego przez spadek wody.

Po stronie kanadyjskiej ciągnie się park Wiktoryi. Mój martwy przewodnik objaśnia mnie szczegółowo, ile ma on mil obwodu, jak wielką zajmuje powierzchnię. Oko pomija te drobiazgi. Wszelkie rachunki są jakby zniewagą dla tej bujnej roślinności, która mnie zewsząd otacza, a która dojrzewa skąpana nieustającą rosą z wodospadu i słońcem, przedzierającem się przez roznoszoną na skrzydłach wiatru kurzawę wodną. Przed wejściem tablica zagradza mi drogę. Jeden z paragrafów głosi, że do parku nie wolno wchodzić pijanej osobie, ani wnosić z sobą trunków. Tylko smuga rzeczna przedziela nas od Stanów Zjednoczonych, a tam nadaremnie poszukiwalibyśmy tej macierzyńskiej opieki. „Nie udawaj junaka w niebezpiecznych miejscach“ — tak brzmi jedyna tam przestroga. Automatyczne wrota notują, że ktoś przestąpił progi parku, inne podobnie zapiszą nasze wyjście lub w końcowym kiedyś rachunku powiedzą, że jakiś bezimienny okaz ludzki wszedł i więcej nie wyszedł... Zapach kwiatów odurza, upał piecze, od wodospadów dobiega huk z pyłem wodnym. „Podkowa końska“ (takie bowiem miano nosi wodospad kanadyjski) wynurza się w całej swojej okazałości. Widzę tylko jej krawędzie, środek zasłoniła przed okiem kurzawa, która od dołu wali się słupami ku górze i tworzy obłoki. Rzeka, która przed spadkiem posiadała barwę zielonawą, teraz, kiedy wypływa z pod stop Podkowy, jest białą. Rzekłbyś, przyroda dokonała cudu, wodę zamieniła na mleko, a ono kipi i wrze. Ołówek odmawia posłuszeństwa, jeszcze ważył się ująć w wyrazy siłę amerykańskiego wodospadu, ale nie zdoła tego uczynić z kanadyjskim. Chaos szczegółów tłoczy się, ale duch całości jest niedostępny, wszelkie zmysły są podniecone. Wodospad, leżący po stronie amerykańskiej, zmalał i w swoim uroku i w grozie. Poza mostem, o jakąś wiorstę, spostrzegam czarne kłęby dymu, ich smoczy wygląd osobliwie odbija od śnieżnej białości, która roztacza się w przeciwnej stronie. Oko ze wstrętem ucieka od tego brudu i sunie ku przełęczy, spada z wodą, ślizga się po mlecznej powierzchni, później po błękitno-zielonawej, usianej brudnemi żółtemi plamami piany. Jakiś przedmiot szybuje i roztrąca te oka, podnosi się i opada, czarnemi kłębami dymu parska w otchłań śnieżności i sili się dosięgnąć mlecznej kotłowiny. Przejmujący kontrast. To „Dziewica pyłu“ chce wjechać na wody bielejącego piekła. Chce? — istna parodya. Przecież z góry wie, że nie podjedzie. A jednak pasażerowie łudzą się i cieszą.

Na głazach pod nogami, het het w przepaści kręcą się wśród lekkiej kurzawy żółto odziane postacie ludzkie, to turyści, którzy spuścili się do „Stołu kamiennego.“

L. K.

LIBERUM VETO.

Drukowstręt. — Azyata i europejczyk. — Tyrania faktów bieżących. — Medyumizm. — Jego nowa epoka od wystąpienia Eusapii. — Spór dwóch obozów. — Czego chcą eusapiści i czemu się opierają antieusapiści. — Stosunek pretensyi do tryumfu. — Wyższość i zasługa „starych.“ — Mnożenie znaków zapytania. — Rada dla czytelników.

W Azyi można być chińczykiem, a przynajmniej pojmować chiński zwyczaj szanowania drukowanego papieru, cokolwiek on zawiera i gdziekolwiek się znajdzie. W Europie jest to niepodobieństwem: serce nasze oburzyłoby się na takie bezmyślne marnowanie uczuć. Jakto, mielibyśmy z równą czcią podejmować poniewierającą się na drodze kartkę poezyj Mickiewicza lub Shelleya, jak skrawek dziennika, poczerniony jadem politycznym lub kłamstwami reporterskiemi? Nigdy! Przeciwnie, europejczyk, który $^{9}/_{10}$ swego życia przepędza śród gazet łżących, wymyślających, spotwarzających, szachrujących, a $^{1}/_{10}$ śród książek i pism naukowych i artystycznych, ma daleko większy powód i prawo nienawidzieć drukowanego papieru i gardzić nim, niż uważać go za świętość. To też podnosi on leżący na drodze kawałek żelaza, drzewa, gipsu, tkaniny, złamaną podkowę, odtrącony trzonek noża, szmat płótna lub bawełny, ale nigdy nie schyli się po wdeptany w błoto papier. Prostaczek uważa go za rzecz bezużyteczną, człowiek ukształcony patrzy nań z odrazą. Giń pod nogami ludz-

kiemi — myśli on sobie — ty jednodniowy władco, ty bezczelny szachraju, szerzycielu nieprawdy i niecnoty, sofisto i plotkarzu! Naturalnie obrzuciwszy niegodziwca najdotkliwszymi wyrazami wstrętu, najbardziej oburzony powraca do niego i pozwala mu się dalej okpiwać.

W każdym razie — jak powiada uroczysty ustęp wszystkich ćwiczeń stylistycznych i wielu artykułów — bywają chwile w życiu narodów i jednostek, w których uczuwamy szczerą niechęć do drukowanego papieru, a przynajmniej do gazety. Zwykle przypadają one w lecie. Wtedy filozof i pastuch sądzą, że wobec wspaniale zapisanej księgi natury żadnych innych czytać nie warto. Na równi z jednym i drugim ulegam w części temu drukowstrętowi. Mówię: w części, gdyż dotyczy on głównie organów chwili bieżącej. Wy wszyscy szczęśliwcy, którzy siejecie zboże, kopiecie węgiel lub siarkę, nie znacie jednej straszliwej tyranii — tyranii faktu bieżącego. Wyczytując z ciekawością w dziennikach, że odkryto Skublińską, zagładzającą niemowlęta, że bogaty nieboszczyk zapisał olbrzymi majątek kotom, przeciw którym wystąpili z procesem spadkobiercy, że Zola po raz dziesiąty postawił swą kandydaturę do Akademii, że Mierzwiński śpiewać będzie w Sztokholmie itd., ani przypuszczacie, ile w tych domniemaniach i wypadkach tkwi despotyzmu. Na pewien czas usuwają one z porządku dziennego najważniejsze sprawy, nie pozwalają ci myśleć o najgłębszych zagadnieniach, a jeśli jesteś robotnikiem lub majstrem literackim, każą ci (pod karą za uchybienie „aktualności“) wytrząsnąć z głowy wszelkie inne ziarno i napełnić ją tym makiem. Milczcie wszystkie zagadki wiedzy, gdy ja występuję na scenę — woła Skublińska lub Diebwurzel, który okradł bank. I rzeczywiście cała wiedza milknie a wszystkie krosna dziennikarskie naciągają się niemi żywota Skublińskiej i Diebwurzla.

Co do mnie, to niewiele potęg dokuczyło mi tak okrutnie, jak ucisk ze strony faktu bieżącego, zwłaszcza że jest to siła niczem niepokonana. Ściga ona mnie wszędzie i niemiłosiernie. Gdy siedzę w mojej pracowni i czytam jakąś ciekawą książkę, wpada z łoskotem i wydziera mi ją z rąk. Gdy idę ulicą i rozmyślam o czemś niezależnem od chwili teraźniejszej, wyskakuje do mnie z ust znajomego, który w przelocie rzuca nowinę, że przed godziną hrabianka Ifigenia, którą chciano poświęcić na złotym ołtarzu Izaaka, uciekła za granicę ze swym ubogim kochankiem. Gdybym siedział w więzieniu, i tam z pewnością poczciwy dozorca szepnąłby mi: wczoraj poeta Muziewicz wyłamał kratę w kasie Towarzystwa ziemskiego, ale go złapano. Musiałbym chyba umieścić się w takiem grubościennem i mocno zatkanem naczyniu, w jakiem chemicy trzymają tlen skroplony, ażeby do mnie nie przeniknął fakt bieżący.

Rzecz naturalna, że dościga on mnie i w tym zakątku wiejskim, w którym przez lato udaję człowieka wypoczywającego. Daremnie chcę myśleć o tem tylko, co się dzieje zawsze, on mi ustawicznie każe myśleć o tem, co się dzieje dzisiaj. Obecnie stał się szczególnie natrętnym, przybrawszy postać *medyumizmu*. Nie ma rady, trzeba się nim zająć, zwłaszcza że wywołał w prasie daleko namiętniejsze spory, niż kolej Wilanowska.

W ostatnich paru latach przyrosło nam mnóstwo *izmów*, a w samej dziedzinie objawów psychicznych wiązka obfita. Najmłodszym jest *medyumizm*. Ma to być właściwość pewnych osobników do ulegania pewnym tajemniczym wpływom i okazywania pewnych tajemniczych sił, o których filozofom dotychczas się nie śniło — definicya mizerna, ale cóż począć, kiedy innej dać nie można. Nową epokę dla tych „cudów XIX w.“ otworzyła Eusapia Paladino, prosta włoszka, która samą wolą podnosi w górę stoły, przesuwa rozmaite przedmioty, głaszcze obecnych po twarzy czyjąś niewidzialną i nieuchwytną ręką itd. Obserwowali ją naprzód Richet, Lombroso, Schiaparelli i inni uczeni, nie zdoławszy wykryć żadnego oszustwa, a gdy ich protokół ogłosiła w *Kuryerze warszawskim* p. Hajota i gdy sława medium zaczęła rozbrzmiewać coraz szerzej, nasz generalny reprezentant i doktór wszech nauk tajemniczych, p. Ochorowicz, pojechał do Rzymu i tam u Siemiradzkiego dokonał z Eusapią szeregu doświadczeń, które opisał naprzód w *Kuryerze warszawskim*, a następnie (z fotograficznemi zdjęciami) w *Tygodniku ilustrowanym*. P. O. nietylko stwierdza wszystkie fakty, ogłoszone przez wspomnianych badaczów, ale nadto dodaje kilka nowych. Probuje on przytem usunąć niewiarę i zdziwienie czemś w rodzaju wyjaśnień naukowych, ale nie może w nich wyjść po za chwalebny zamiar. Jego wywody rozniecił spór, w którym przyjęło udział kilku zapaśników. Jedni opierając się na prawach wiedzy ścisłej, utrzymują, że zjawiska przeczące tym prawom muszą być oszustwem, że więc cztery nogi stołowe, unoszące się w górze, nie mogą obalić teoryi Newtona, drudzy zaś sądzą, że trzeba przypuścić możliwość istnienia sił i praw nam nieznanych, które objawiają się ludzkości za pośrednictwem Eusapii i wogóle *medyumizmu*. Jeżeli rozważymy ściśle rdzeń tego sporu, to łatwo dostrzeżemy, że w nim ścierają się zdania przeciwnie nie o fakty lub ich tłomaczenie, ale o... rzetelność. Eusapiści zaręczają, że ich medium nie popełnia i w warunkach doświadczeń nie może popełniać oszustwa, oraz że oni zeznają prawdę; antieusapiści zaś mówią wyraźnie lub domyślnie, że albo eusapiści kłamią, albo medium zręcznie ich oszukuje. Na tej osi obraca się cała polemika, w której chodzi nie o różnice w objaśnianiu faktów, ale o ich wiarogodność. Dopóki zaś walka toczy się na tym gruncie, stanowi ona tylko mniej lub więcej ciekawe widowisko, a nauce nie dostarcza żadnego poważnego materyału. Dopiero wtedy, gdy zniknie wszelka wątpliwość co do rzetelności objawów i sprawozdań, przeciwnicy muszą zamilknąć, a ogół zacznie słuchać apostołów prawd nowych.

Dziś ich pretensye przerastają znacznie tryumf. Bo ostatecznie czegoż oni w najlepszym razie uczą? Tego, że istnieją pewne, dotychczas nieznane fakty, których wytłomaczyć nie umieją. Oto cała mądrość. Antieusapiści mają przynajmniej tę wyższość, że powołują się na prawa, niepodlegające zaprzeczeniu i że strzegą naukę przed fantazyą, kłamstwem i oszustwem, wymagając najściślejszej wiarogodności zjawisk i spostrzeżeń. Natomiast eusapiści chcieliby bardzo rozluźnić warunki badania i otworzyć pole łatwowierności. Wiedza dotychczasowa — powiadają oni — nie wyczerpała nawet kropli z olbrzymiego morza tajemnic poznania, nie powinna więc opierać się rozszerzeniu swych granic. Byłby głuptasem ten, ktoby mniemał inaczej. Nie potrzebujemy wcale uciekać się aż do nadzwyczajności, ażeby się o tem przekonać. Jeżeli wsadzę w doniczkę dwa ziarna grochu, wkrótce zobaczę, że nie potrafię wytłomaczyć różnicy, jaka się okaże we wzroście dwu łodyg odmiennych, pomimo że wyrosły z jednego nasienia i w tych samych warunkach. Nauka od tysięców lat zna fakty, z którymi daremnie się pasuje i których przeniknąć nie zdołała. Już nie sen hypnotyczno-magnetyczny, niedawno stwierdzony, ale sen zwyczajny, codzienny jest zagadką, chociaż wszyscy ludzie śpią i na śpiących patrzą od czasu, jak istnieją. Sama obserwacya do niczego ich nie doprowadziła. Tymczasem eusapiści i medyumiści, schwyciwszy garść faktów podejrzanych, ogłaszają je za garść promieni światła, jak gdyby nauka była składem surowego materyału. Przypuśćmy nawet, że spodnica Eusapii wydyma się ukrytą w niej siłą, że ta siła podnosi stoły, przesuwa lampy, głaszcze czyjąś (?) ręką obecnych — czy te zjawiska pomnażają naszą wiedzę o coś więcej, niż o kilka nowych znaków zapytania, których w niej jest bez liku? Pojmujemy kontrolerów cudotwórczej włoszki, gdy nie zdemaskowawszy jej oszustwa i przedsięwziąwszy najskrupulatniejsze (według nich) środki zapobiegawcze, bronią prawdomówności swych zmysłów i przysięgają, że istotnie widzieli to, co zeznają; ale nie pojmujemy ich pychy i wyniosłego tonu wobec tych, którzy albo nie ufają ich zmysłom, albo nie są olśnieni ich odkryciami. Zapominają bowiem o tem, że są jedynie co najwyżej reporterami naukowymi, donoszącymi o pewnych zdarzeniach i nieumiejącymi ich związać żadną teoryą. Nawet dzicy wiedzieli, że kamień rzucony w górę spada na ziemię, ale dopiero Newton objaśnił, dla czego spada. Newton hipnotyzmu, magnetyzmu, medyumizmu jeszcze się nie urodził, a już wszyscy dzicy mniemają, że nim są.

Z powyższych uwag wypływa jasno rada dla moich czytelników, jak się należy zachować wobec owych *izmów*: należy przedewszystkiem krytycznie przyjmować ogłaszane fakty i nie dowierzać im, póki nie będą sprawdzone wszystkimi probierzami ścisłego badania i należy pamiętać że te fakty zamienią się na prawdy naukowe dopiero wtedy, gdy poznane będą ich przyczyny i prawa.

Po odrobieniu tej pańszczyzny w służbie u „aktualności,“ pozwólcie mi znowu odpocząć.

Poseł Prawdy.

SPRAWY EKONOMICZNE

WSTRZĄŚNIENIE SREBRNE.

Ostatnimi czasy stosunki monetarne uległy silnemu naprężeniu z powodu szybkiej obniżki ceny srebra, wywołanej względną jego nadprodukcyą. (Sprawie tej poświęcony był w r. z. artykuł p. K. R. Ż. n. 52 *Prawdy* „Konferencya monetarna w Brukselli“). Obecnie przeciągnięte struny zaczęły pękać. Proces rozpoczął się w Indyach Wschodnich, gdzie d. 26 czerwca r. b. skasowano prawo o dowolnem biciu monety srebrnej. Wolno tam było każdemu oddawać do mennicy za opłatą 1—2% sztaby złota i srebra dla przebijania na monetę. Stosunek tych metalów względem siebie, obowiązujący w mennicy, wynosił 1:15, podczas gdy na rynku przedstawia się jak 1:25; czyli jeden mohur złoty wart był w obiegu pieniężnym 15 rupii srebrnych, a za odpowiednią jego ilość można było otrzymać sztabę srebrną, z której mennica wybijału 25 rupii. W sprawach wewnętrznych stosunki te nie wiele zawadzały, sprzyjając wywozowi płodów rolnych. Ale rząd indyjski posiada dług, zaciągnięty za granicą w walucie złotej. Otrzymując zatem podatki w srebrze, zmuszony był wypłacać się złotem, a straty z tąd wynikłe obliczono na 800 milionów rupii.

Zakaz powyższy, dążący do zaprowadzenia w Indyach waluty złotej, wpłynął na tem silniejszą obniżkę srebra i wywołał popłoch. Odbiło się to na interesach prawie wszystkich państw. Najgorsze pod tym względem stosunki istnieją w Stanach Zjednoczonych, produkujących najwięcej srebra i posiadających sławny bil Sherma-

na, który obowiązuje państwo do kupowania co miesiąc 4½ mil. uncyj srebra i wydawania wzamian certyfikatów, obliczonych w złocie. Zamknięto tam większość kopalni srebra i postanowiono zawiesić jego produkcyę w całym stanie Colorado, wskutek czego 30,000 robotników straci zajęcie, a na dzień 7 sierpnia zwołana została nadzwyczajna sesya kongresu dla zapobieżenia klęskom ekonomicznym. W razie zniesienia bilu, srebro spadnie jeszcze silniej, co wywołać może zupełne wycofanie go z obiegu pieniężnego; zniesienie zaś to jest bardzo możliwe, bo już w r. z. w piwnicach skarbu znajdowało się 447½ mil. dolarów srebra, złota zaś tylko 100 mil., co wystarczyć może zaledwie na prawne pokrycie „greenbeck'ów,“ podczas gdy certyfikatów złotych jest w obiegu cztery razy więcej. Położenie to wywiera silny nacisk na państwa europejskie. Zagrożona jest w szczególności t. z. unia łacińska, do której składu wchodzą: Francya, Włochy, Belgia, Szwajcarya i Grecya. Państwa te zobowiązały się bić monety złote i srebrne na jednakowych podstawach i przyjmować je w nieograniczonej ilości, bez względu z jakiego kraju układowego pochodzą. W dodatkowej umowie r. 1874, wywołanej wstrząśnieniem na rynku srebra, ograniczono bicie monety z tego metalu, w roku zaś 1876 zawieszono je we Francyi i Belgii. Odnowiono unię w r. 78 z warunkiem powstrzymania dalszych emisyi monet srebrnych, a gdy pomimo tego środka srebro spadało dalej — poczyniono zastrzeżenia względem możliwej likwidacyi związku. Od r. 1878 nie bije on monety srebrnej, ale nagromadzone przedtem pieniądze pozostały w obiegu. Francya posiada obecnie 3½ miliarda franków srebrnych, Włochy 350 a Belgia 600 milionów. Związek ma teraz do wyboru: albo utrzymanie konwencyi i równoprawnego obiegu monet srebrnych we wszystkich państwach układowych, co się równa dobrowolnemu ponoszeniu strat, albo zerwanie jej. W tym jednak ostatnim wypadku państwa związkowe obowiązane są do października roku następnego wycofać z obcych posiadłości swoje monety srebrne i przed 15 stycznia dokonać wzajemnego rachunku. Straty, mogące stąd wyniknąć, obliczają: dla Belgii na 300 mil. franków dla Włoch 175 milionów i Francyi 1½ miliarda. Również w mniej lub więcej trudnem położeniu znajdują się inne państwa, w których kursuje srebro. W rzeszy niemieckiej, pomimo istniejącej waluty złotej, jest jeszcze 350 mil. marek w talarach srebrnych i strata na ażiu, przy obecnej cenie srebra wyniosłaby około 170 mil. marek; Austrya obecnie przeprowadza zamianę swojej srebrnej waluty na złotą, i wobec wstrząśnień monetarnych może ugrzęźć w ciągu przygotowań, w Rosyi zaś przesilenie zaznaczyło się tem, że ruble srebrne usunięto z notowań giełdy, wskutek czego nie różnią się one obecnie od kredytowych. Stało się to nie tyle wskutek wzrostu wartości papierów (co nastąpiło bezsprzecznie), ile z powodu zniżki srebra.

Wstrząśnienie monetarne, wybieglszy z Indyi — wkrótce rozpostarło się po całym rynku wszechświatowym. Dotychczas zagrożony jest świat finansowy, ale w dalszym ciągu przesilenia odbiją się również na przemyśle i handlu, bankructwa zaś, które już się zaznaczyły — pociągną za sobą inne. Oprócz tego, po upadku srebra nastąpić musi nowy układ stosunków wytwórczo-handlowych. Utrzymanie tej lub innej waluty leżało przedewszystkiem w interesie pewnych klas społecznych. W Stanach Zjednoczonych, Argentynie i Indyach waluta srebrna utrzymała się w duchu interesów rolników, a prawdopodobny upadek jej dotknie ich w pierwszej linii. W wypadku tym rolnictwo europejskie wzmocni swoje stanowisko wobec amerykańskiego.

Obecny upadek srebra jest tylko śladem, jaki w przebiegu swoim pozostawia rozwój pieniężny. On tu jest głównym czynnikiem, inne zaś, jak ulepszenia środków technicznych dobywania srebra i rozmaite spekulacye, grają rolę drugorzędną. W pochodzie ewolucyjnym pieniądz wykazuje dążność do zrzucenia z siebie przestarzałej szaty towarowej, skutkiem czego narodził się banknot. Ekonomiści rozmaitych odcieni nie mogli powstrzymać się, aby na podstawie panujących doktryn, nie kopnąć mimochodem niezrozumiałego dla nich noworodka; on tymczasem wzrastał, rozszerzał się i wzmagał i oto doszedł do takiej potęgi, że jeden ze współzawodników, pieniądz srebrny, który w ciągu lat tysięcy panował na świecie, leży u nóg jego i bodaj czy wstanie. (Zdaniem znawcy stosunków monetarnych, ex ministra angielskiego, Goschdena, spodziewane powszechne wprowadzenie waluty złotej miało by za skutek zapanowanie pieniędzy papierowych). Przyczyn wzrostu wszechwładztwa papierowego było wiele. Społeczeństwa, ażeby módz wytwarzać, potrzebują pieniędzy. Innej metody organizowania sił roboczych w celach produkcyi. oprócz pieniężnej, w dzisiejszych czasach nie znamy. Pieniądz, przekazany w spadku przez wieki ubiegłe, przedstawił się obleczony w drogocenną szatę, która niegdyś była nieodzowną, jako zapewnienie wartości. Zdobycie jego czy to za pomocą wymiany, czy też prostego wydostania z min — kosztowało dane społeczeństwo wiele pracy, podczas gdy sam on, jako pieniądz, nie służył do zaspokojenia innych potrzeb, oprócz pośrednictwa wytwórczo - wymiennego, gdzie występował jako prosty znak, opatrzony gwarancyą wartości.

Społeczeństwo zatem, które zdobyło się na pieniądze papierowe, uwolniło się od obowiązku niepotrzebnego wydatku swoich sił na zdobycie środków organizacyjnych i mogło się rozwijać potężniej. Posiadanie banknotów dla jakiejś fabryki lub instytucyi nie obchodziło się bez wydatku pracy — ale społeczeństwo (*resp.* państwo) otrzymywało je za darmo. To było głównym powodem utrzymania się przy życiu i dalszego rozwoju nowej, beztowarowej formy pieniężnej.

Społeczeństwa dążyły do szybkiego rozwoju, do czego potrzebnym jest przyrost pieniężny. Zdobycie kruszców było trudne, ponieważ znajdowały się one nie wszędzie i w ograniczonej ilości. Społeczeństwa więc toczyły ze sobą walkę za pomocą przemysłu i handlu o te środki rozwojowe. Tutaj jako zbawca i rozjemca występuje papier. Posiada on tę właściwość, że wyssać go nie można, gdyż po za pewną ilościową granicą w państwach obcych traci wszelką wartość, w swoim zaś służy bardzo dobrze do zaspokojenia potrzeb wewnętrznych. Tym sposobem banknot w pewnych społeczeństwach nietylko zastąpił wyssany kruszec, ale dał ochronę dla miejscowego przemysłu lepszą od cła, podnosząc niepomiernie cenę obcych towarów wskutek spadku swojej wartości za granicą. Pieniądz metalowy to kosmopolita, któremu wszędzie dobrze — papier zaś zdradza patryotyczne instynkty. Papier nie znosi współzawodnictwa — dąży do samowładztwa. Matką dla niego, pod opieką której wyrósł i zmężniał, były pewne potrzeby i korzyści społeczne, ojcem zaś — zawikłania i kłopoty polityczne państw. Jest on wynalazkiem sfer rządowych i wypuszczenie jego stanowi ich monopol. Państwa, mając łatwy sposób zyskania potrzebnych środków, czerpią je dość często; nawet najsilniejsze ekonomicznie, jak Anglia, Stany Zjednoczone i Francya uciekają się w potrzebie do niewymienialnych banknotów, których nietylko wycofanie, ale nawet uczynienie wymienialnymi stanowi wielką trudność (mniejszą lub większą — stosownie do bogactwa społeczeństwa). Niedawno Włochy jedynie kosztem nędzy swoich mieszkańców potrafiły tego dopiąć. Zrodzony potrzebą polityczną i rzucony na rynek masowo, pieniądz papierowy ruguje kruszec za granicą, skąd powrót dla niego jest bardzo trudny. Państwa zatem, które raz wkroczyły na drogę papierowej gospodarki, chcąc nie chcąc muszą częstokroć iść nią dalej. Tym sposobem wytworzyły się takie olbrzymie przestrzenie, jak Rosya, zajmująca niemal połowę Europy i Azyi, gdzie chcąc nabyć cokolwiek za pieniądz metalowy (nie zdawkowy), trzeba go pierwej wymienić w kantorze na papier. Kruszec tu został całkowicie zepchnięty z obiegu do państw sąsiednich — pomimo że Rosya posiada własne kopalnie na Uralu i Syberyi.

Wskutek tych czynników papier w dzisiejszych swoich formach ewolucyjnych wymienialnego i niewymienialnego na kruszec banknotu rozwielmożnił się we wszystkich państwach cywilizowanych; w jednych panuje niepodzielnie, w innych — na współkę z metalem. Takie olbrzymie masy nowych pieniędzy musiały wywrzeć odpowiedni nacisk na metalowe, obniżając ich wartość. Odczuło to naprzód srebro, jako podległe większym wahaniom kursu i obiegające w znaczniejszej ilości. Złoto na razie okazało się sprzymierzeńcem papieru, pomagając mu do zwalczania srebra. Waluta złota wprowadzona została w Anglii, Niemczech, unii skandynawskiej (Szwecya, Norwegia i Dania) i Włoszech, spychając srebro do coraz mniejszego obszaru i powodując jego zniżkę. Było to zjawisko wtórne tego samego czynnika.

Te to czynniki z jednej strony, z drugiej zaś wzrost produkcyi srebra wskutek ulepszeń technicznych, wstrząsnęły tak potężnie bytem pieniądza srebrnego. Ulepszenia jednak mają tu znaczenie drugorzędne i srebro mogłoby istnieć doskonale, gdyby miejsca jego w obiegu nie zajął papier. Obecne przesilenie srebrne jest następstwem rozwoju nowej formy pieniężnej — a możliwy upadek monety z tego metalu spotęgowałby jeszcze bardziej rozrost papieru.

P. K.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Napływ pieniężny. Pochód kapitałów europejskich posuwa się coraz bardziej na wschód. Początkowo osiadały głównie w miejscowościach pogranicznych, pobudzając tam rozwój przemysłu fabrycznego; z biegiem jednak czasu nabyły chęci do dalszych wędrówek i oto teraz zamierzają zatknąć swoje sztandary nad brzegami Kubania. *Birż. Wied.* donoszą, że niejaki Jozek, czech, postanowił utworzyć towarzystwo kapitalistów dla wyzyskania wzmiankowanej rzeki, jako głównej drogi, przecinającej całą prowincyę. Bez względu, czy uda mu się zamiar, czy też nie — pozostaje fakt dążności kapitałów zachodnich do posuwania się coraz dalej. Sprawa ta ściśle się wiąże z rozpanoszeniem papierowego pieniądza. Silniejsze ekonomicznie kraje, gromadząc u siebie szlachetne metale, ogałacały z nich jednocześnie słabsze, co postępowało tem szybciej, że w ostatnich pojawiły się banknoty. Ustawione jednak pompy zaczęły wkrótce wciągać do swoich rur nietylko kruszec, ale i papier, odznaczający się właściwością, że na obczyźnie nietylko nie chce obiegać, ale zniża znacznie swój kurs. Kapitaliści więc na zachodzie znaleźli się w szczególnem położeniu. Nagromadzili oni bogactwa w pieniądzach, które nie mogły być w całości zużyte na dalszy rozwój miejscowej produkcyi z powodów: że spożycie tam było wązkie wsku-

tek względnie nizkiej płacy roboczej i że dany, wyzyskiwany rynek się zmniejszał lub nie wzrastał w stosunku do gromadzonych przez kapitalistów zagranicznych bogactw. Wskutek tego stopa ich zysków musiała maleć, co było pobudką do szukania nowych dróg dla swoich pieniędzy. O kierunku stanowił papier. Wartość jego zamienna na metal była nizką, za daną ilość pieniędzy w kruszcu można było nabyć za granicą znacznie więcej papierowych; z drugiej znów strony w ojczyźnie tego obcego papieru przedstawiało się szerokie pole działalności, zniżona bowiem jego wartość za granicą i cła tamują dopływ z zewnątrz towarów. W położeniu tem łatwo było się oryentować nawet najmniej przedsiębiorczym umysłom i fala pieniężna musiała podążyć wyznaczoną jej przez warunki drogą. Wyssane niegdyś kapitały wracają nazad, aby pod sztandarem wielkiego przemysłu i pod wodzą obcego kapitalisty organizować miejscowo siły robocze.

— Nowourządzone towarzystwo kolei Południowo-wschodnich (od Carycyna do Orła i Rostowa nad Donem) za przykładem tow. kolei Riazańsko-Uralskiej otworzy w Warszawie własną agenturę handlową z szerokim zakresem działalności i pośrednictwa w stosunkach zagranicy i okręgów przemysłowych: warszawskiego, łódzkiego i sosnowickiego z guberniami południowo-wschodniemi Cesarstwa, a głównie z krajom zakaspijsko-turkiestańskim. Towarzystwo to, dla utrzymania stałej komunikacyi z portami morza Kaspijskiego, przystępuje do budowy kolei pomocniczej od Carycyna do Astrachania, która podtrzyma ruch w czasie ustania go na Wołdze zimową porą. Towarzystwo urządzi w Turkiestanie i na granicy perskiej agentury handlowe dla podtrzymywania stosunków z Królestwem Polskiem i zagranicą przez komory tutejsze. Na podstawie programów agentur kolei Riazańsko-Uralskiej i Połudn.-Wschodniej można się spodziewać wzrostu znaczenia Warszawy w stosunkach handlowych Europy z Azyą środkową i większego odbytu wytworów z Królestwa.

— Opracowano nowe przepisy do ustawy o elewatorach, które zobowiązane będą do przyjmowania partyi zboża wielkich i małych. Te ostatnie przechodzić mają do oddzielnych składów, gdzie sortowanie odbywać się będzie wobec właścicieli, którym się zwrócą wszelkie obce domieszki. Właściciel taki będzie mógł przedsiębrać z oddanem zbożem wszelkie obroty, praktykowane z wielkiemi partyami.

— Zatwierdzono ustawę normalną biur sielsko-gospodarczych, których obowiązkiem będzie: ułatwianie zakupów i sprzedaży wszelkiego rodzaju inwentarza, pośredniczenie między wytwórcami i nabywcami płodów rolnych, ułatwianie gospodarzom wynajdywania dzierżawców, nabywania i zbytu majątków, udzielanie porady w wyborze maszyn, narzędzi itd. Biura te powstaną przy towarzystwach sielsko-gospodarczych, lecz mogą być również zakładane przez stowarzyszenia właścicieli ziemskich i gospodarzy.

— Kupcy zbożowi, działający na prowincyi, zmuszeni będą do wykupywania patentów handlowych.

— W miejscowościach bliższych ujścia Wisły (głównie koło Włocławka) odbywa się obecnie połów jesiotrów. Rybacy warszawscy wyruszyli również probować szczęścia. Wynik połowu bywa rozmaity: w zaprzeszłym roku złowiono wiele, w przeszłym zaś nie opłaciły się nawet koszty wyprawy.

— Między Rosyą i Austro-Węgrami rozpoczęto układy o zawarcie rusko-austryackiego traktatu handlowego. (*Warsz. Dniew.*).

— Ministeryum komunikacyi przystępuje do budowy portu w Taganrogu. (*Nowosti*).

— Na jednym z placów w pobliżu rogatki Grochowskiej na Pradze urządzony będzie targ na słomę i siano. Zatrzymywanie się w innych punktach fur ma być wzbronione.

— Książki meklerów giełdowych ulegną stałym rewizyom i w razie odkrycia nadużyć, posiadacze ich będą zwalniani z obowiązków. Za umyślne rozszerzanie niepokojących wieści wstęp na giełdę może być do roku wzbroniony. (*Graždanin*).

O PRAWDĘ.

P. Feliks Wiśniewski w swej odpowiedzi na mój artykuł o jego dziełku nazywa go pompatycznie krytyką. Krytyką bynajmniej on nie jest. Nie rozbierałem w nim ani przewodniej myśli autora, ani głównych argumentów, jakimi się on posługuje w celu jej uzasadnienia. Poprzestałbym tylko na zaznaczeniu tej myśli i przytoczeniu kilku z owych argumentów, które są tak wymowne, że wszelkie do nich komentarze byłyby zbyteczne. Krytyce podlegać może tylko takie dzieło, które mniej lub więcej odpowiada wymaganiom naukowym, do którego można zastosować obowiązujące powszechnie prawidła, którego autor nareszcie uznaje konieczność tych prawideł, chociażby nie zawsze trzymał się ich ściśle. Tymczasem p. Wiśniewski z góry zastrzega się przed tem, ażeby jego dziełko miało być ocenione ze stanowiska umiejętnego, twierdząc, że filozofia nie jest umiejętnością, lecz mądrością, która dla wszystkich jest dostępna i do której każda droga prowadzi, byle była krótka i nienudna. Jakoż nie można zaprzeczyć, żeby droga, którą autor wybrał, nie była krótką, chociaż bez żadnej dla czytelników straty mogłaby być znacznie krótszą; przyznać również potrzeba, że nie jest nudną, nastręcza bowiem czytelnikowi tyle niespodzianek ucieszných, że te sowicie go wynagradzają za niewdzięczny trud śledzenia krok za krokiem myśli autora. Czy zaś ta droga doprowadziła autora do mądrości, dałem na to wyraźną odpowiedź w moim artykule.

Robi mi autor zarzut, że nie chciałem zrozumieć jego matematycznych wywodów i logicznych rozumowań. Zarzut niesłuszny. Chciałbym je zrozumieć, ale niestety... nie mogłem. Dla wyrozumienia jakiejś rzeczy sama chęć, chociażby najgorętsza, nie wystarcza. Potrzeba jeszcze, żeby rzecz ta ze swej strony posiadała pewne warunki, któreby umożliwiały jej zrozumienie. Na nieszczęście brak tych warunków wywodom autora. Jeżeli wszakże nie mogłem ich zrozumieć, z tem większą swobodą mogłem je podziwiać. Bo i jak tu nie podziwiać takich np. twierdzeń, jak następujące: „Gdyby materya była nieskończoną, to, gdybyśmy wyobrazili sobie ową nieskończoną materyę podzieloną na możliwie najmniejsze części — każda taka cząstka musiałaby być nieskończonością.“ Tego rodzaju rozumowań jest tyle, że nawet i na wołowej skórze ich nie spisać.

Szczególniej dotkliwem dla autora jest to, że jego wywody matematyczne, do których on tak wielką przywiązuje wagę, nie znalazły spodziewanego uznania. Pod tym względem mogę go zapewnić, że każdy, kto przeczyta jego dziełko, będzie zmuszony przyznać, że owe wywody matematyczne odznaczają się taką oryginalnością, o jaką dotąd nikt się nie pokusił i nie pokusi nigdy. Dowieść np. za pomocą wykreślenia geometrycznego, że punkt materyalny w nieskończoności jest to samo, co punktu tego nie ma — i wyprowadzić stąd wniosek, że materya jest skończona — nie jestże to dowieść zarazem, że się posiada taką oryginalność fantazyi, dla której żadne względy rozumowe nie istnieją!?..

Wogóle wywody i dowody autora robią na czytelniku wrażenie podobne do tego, jakiego się doznaje na tak zwanych *séanse'ach* dzisiejszych spirytystów. Rzecz jakaś, która była przed nami, nagle znika. Dlaczego? Albowiem przeniosła się w czwarty wymiar przestrzeni. Rolę czwartego wymiaru przestrzeni odgrywa w rozumowaniach autora nieskończoność. Oto mamy punkt materyalny, a oto go nie ma. Gdzież się podział? Przeszedł w nieskończoność.

Odwołuje się w końcu autor do wstępu swego dziełka, zawierającego następujące wyrazy: „To *ty*, to *ja*: patrz, jaki ja jestem; patrz na mą działalność, wydaj sąd, raczej bądź mi pomocą!“ Ponieważ temu odwoływaniu się do pywyższego ustępu towarzyszy zarzut, że go przeoczyłem, muszę go uważać za delikatne napomnienie, że nie uczyniłem zadość życzeniu autora. Tymczasem przeciwnie, przypatrywałem się pilnie działalności autora, jaką jest dziełko jego — i wydałem sąd. Jeżeli ten sąd nie wyświadczył żadnej pomocy autorowi, może to być wina moja, a może być także autora, który nie chciał z niego wyciągnąć właściwej dla siebiu nauki. Przypuszczam jednakże, że zawartą w mym sądzie naukę dla autora nie dość wyraźnie zaznaczyłem, dlatego pragnąc rzecz naprawić i uczynić zadość wezwaniu: „raczej bądź mi pomocą!“ — przytoczę mu wiersz biskupa Krasickiego: „Minął wiek złoty...“ — resztę niech autor w swej duszy dośpiewa.

Władysław Kozłowski (Lwów).

KRONIKA.

Wąż dziennikarski. Przed kilku laty jedno, świeżo naówczas powstałe pismo, zrobiło niesłychane odkrycie naukowe, którem wywołało rewolucyę śród kucharek, omal nie zakończoną zburzeniem szpitali Dzieciątka Jezus i Św. Ducha. Wynalazło ono pewien cudowny gatunek węża, który przysysając się do piersi żydówkom, pozwalał się wraz z niemi przenosić do lecznicy i oglądać ciekawym. Sądzono, że węże te zginęły — ale odnalazł je specyalny korespondent innego pisma. Porzuciły już one proceder antisemicki i zadziwiają świat w odmienny sposób. „W zwierzyńcu Hagenbecka w Hamburgu i w lipskim ogrodzie zoologicznym olbrzymia żmije, sprowadzone z Kalkuty (Python livittatus) wylęgły znaczną ilość żmij, długich na 1½ do 2 stów. Żmije, długie na 16—20 stóp, *siedziały na jajach blizko dwa miesiące.* Pierwszy to wypadek tego rodzaju, stwierdzony w Europie.“ Dodać można, że jest to również pierwszy wypadek na świecie, aby węże, za przykładem kur i gęsi, wysiadywały potomstwo. Odkryciem tem korespondent chciał widocznie prześcignąć swego poprzednika i poruszyć już nie kucharki, dla których fakt powyższy nie przedstawiałby nic nadzwyczajnego, ale świat uczony — zburzyć zaś zamierzył zwierzyńce w Hamburgu i Lipsku, których kraty mogą pęknąć pod naporem rozciekawionych zoologów. Niebezpieczeństwo jednak nie grozi wyłącznie zwierzyńcom, ale i *Kuryerowi*, czytanemu nietylko przez kucharki, któremu przecież musi na tem zależeć, z jaką wiarą przyjmują czytelnicy podawane przezeń wiadomości.

Sprawy społeczne. We wsiach i osadach pod Warszawą sprawiono narzędzia i przybory ratunkowe na wypadek pożaru. W niedziele i święta dojeżdzać tam będzie specyalny instruktor dla urządzania ćwiczeń, w których brać mają udział wszyscy dorośli mężczyźni od 18 do 40 lat wieku. Koszta pokryją fundusze gminne.

— Skarbowe leśnictwo fastowskie wprowadziły u siebie wznoszone wśród zagajników strażnice ogniowe, składające się z wysokich rusztowań, na których czuwają straże. Dawniej ponoszono znaczne straty z powodu, że ogień stawał się widocznym dopiero gdy objął znaczne przestrzenie.

— W Radomiu rozpoczyna przedstawienia nowo powstała trupa teatralna pod dyrekcyą p. Puchniewskiego, do której składu przeszli artyści z b. trupy Kamińskiego, grywającej zimą w Petersburgu.

— Kijowskie towarzystwo rolnicze otworzyło biuro pośrednictwa w pracy dla specyalistów w gospodarstwie wiejskiem.

— Sprzedaż płodów rolnych na wagę (a nie na miarę) stanie się wkrótce obowiązującą. (*Pet. Wied.*).

Szkoły. Do Akademii wojskowo-lekarskiej w Petersburgu będą przyjmowani w r. b. tylko kandydaci, mający na świadectwach szkolnych średnio czwórkę ze wszystkich przedmiotów. Żydzi nie będą przyjmowani zupełnie.

— Powstać ma w Paryżu „Praktyczna szkoła magnetyzmu.“ Kurs dwuletni.

Sprawy kolejowe. Zarządy tutejszych kolei otrzymały urzędowne zawiadomienie, że udający się na zjazd lekarski do Rzymu, mogą korzystać z obniżki taryfowej o 50%.

— Kolej Nadnarwiańska przechodzi pod zarząd kolei Terespolskiej.

— Kolej Warszawsko-Petersburska przystępuje do budowy wzdłuż linii magazynów zbożowych. (*Petersb. wiedom.*).

— Koleje Nadwiślańska i Terespolska sprzedają dla młodzieży szkolnej bilety trzeciej klasy po zniżonej cenie. Dotyczy to komunikacyi bezpośredniej między stacyami Iwangród-Lublin i Siedlce-Brześć. Ustępstwa czynią się również na kolei Obwodowej pomiędzy Pragą-Terespolską i Warszawą-Wiedeńską.

Wynalazki. Jeden z techników warszawskich, p. Morawski, przedstawił władzy wojskowej aparat do filtrowania wody, dający się zastosować do żołnierskich manierek. Wynalazek został już opatentowany.

Komunikacye. Rząd gubernialny wyznaczył komisyę dla rozpatrzenia sprawy, czy może być wydane pozwolenie Wilanowskiej kolei konnej na użycie parowozów W razie odpowiedzi przychylnej na linii tej wiosną r. p. zaczną chodzić 4 lokomotywy o sile 6 koni. Pociąg składać się ma z 4 wagonów. Tor tramwajowy przedłużony będzie jesienią od Wilanowa do Jeziorny i od rogatek belwederskich do mokotowskich. Na niedziele i święta wprowadzone będą bilety familijne o zniżonej cenie.

Wystawy. Towarzystwo stałych wystaw przemysłowo-rękodzielniczych rozwija swoją działalność w 36 miastach miejscowych i zagranicznych, między innemi w Petersburgu, Kijowie, Łodzi, Warszawie, Odesie, Baku, Kokandzie, Irkucku, Paryżu, Londynie, New-Yorku i Teheranie. (*Birż. Wied.*).

— W Monachium otwarto wystawę secesyonistów. Katalog obejmuje przeszło 700 dzieł sztuki.

Zdrowie publiczne. Cholera w Moskwie rozwija się wolno. 11-go lipca znajdowało się w szpitalach 19 chorych, 9 przybyło, jeden umarł i jeden wyzdrowiał, 30-go zaś pozostało 26. W ciągu 12 dni od czasu pojawienia się epidemii zmarło 15 ludzi. Pierwsze wypadki jak i w r. ubiegłym zdarzyły się w więzieniu transportowem. Wśród ogółu zmarłych większość oddawała się nadużyciom. Moskwa przygotowuje się do walki z chorobą, czerpiąc doświadczenie z przeszłego roku. Ilość lekarzy sanitarnych podwojono i przygotowano 250 miejsc dla cholerycznych. Znamiennem jest zapadanie głównie ubogiego ludu, niemającego środków dla dobrego odżywiania organizmu, co stanowi ważny środek walki z epidemią. Skłoniło to kilka osób do urządzenia tanich herbaciarni i kuchni.

Wypadki. W Łodzi pożar zniszczył zabudowania fabryki towarzystwa wyrobów bawełnianych. S. Rosenblata i wiele towaru. Straty obliczają na 300,000 rs.

— W Montreal w czasie obchodu francuskiego święta narodowego, zawaliła się trybana z 10,000 widzów. Setki ludzi poniosło rany, a wielu śmierć.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu A. Gaj. w Pod. Praca Pańska nie czyni zadość żadnemu z warunków utworu artystycznego i jest zlepkiem okropności.

Panu Edw D. Nie dla nas.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 16 Iюля 1893 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.